



UTWORY

DRAMATYCZNE

L. RYDLA.





UTWORY DRAMATYCZNE



X



LUCYAN RYDEL

UTWORY  
DRAMATYCZNE

TOM II.

93243

KRAKÓW, 1902 R.





264281/2

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0134269

UTWORY DRAMATYCZNE LUCYANA  
RYDLA OBEJMUJĄ W TOMIE DRU-  
GIM: I. JEŃCY (3 AKTY). II. PROLOG.  
III. EPILOG. IV. NA MARNE (1 AKT).



NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE  
POD KIEROWNICTWEM JÓZEFA MÜNNICHA. ○ RYSUNKI  
A. S. PROCAJŁOWICZA. ○ CZCIONKAMI DRUKARNI LITE-  
RACKIEJ POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO W KRAKO-  
WIE, PRZY ULICY JAGIELLOŃSKIEJ L. 10. ○ SKŁADAŁ  
ANTONI KWICZAŁA. DRUK. KAZIMIERZ SOŁTYKOWSKI.

0/219/020 264282

# JEŃCY.






. . . . . nie znajdzie się taki,  
Coby ich nie znał chytrności i dumy,  
Nie stronił od nich, jak od krymskiej dżumy ;  
Coby nie wolał stokroć od ich broni  
Raczej śmierć w polu – niżli pomoc zyskać,  
Raczej żelazo rozpalone w dłoni,  
Niżli krzyżacką prawicę uściskać.

*Mickiewicz — Grażyna.*

Widzisz – mawiał mi starzec – łąki nadbrzeżnej kobierce?  
Już je piasek obleciał – widzisz te zioła pachnące?  
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie,  
Ach, daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,  
Białe pletwy roztacza, łądy żyjące podbija  
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni...  
Synu, płony wiosenne żywo do grobu wtrącone  
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini,  
Synu – piaski z za morza burzą pędzone – to Zakon!

*Mickiewicz — Wallenrod.*





OSOBY :

MIESZKO, młody knęź Polan nadgoplańskich.

DEMBIEC, lirny dziad, ślepiec.

ŚWITYNA } siostry,  
WICHNA } branki słowiańskie u Niemców


HADO, wódz niemiecki


GERTA, żona Hadona

WOLFRICH, pachoł Hadonów

Wojennicy słowiańscy i niemieccy, pachołki.

Rzecz w X wieku w grodziszczu niemieckim na  
ziemiach słowiańskich między rzeką Odrą a Łabą.

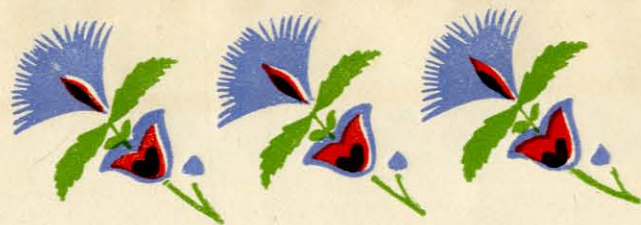





*Ciasne, ponure podwórze drewnianego grojca. W głębi okopy, kamieniami umocnione i obwarowane potężnym ostrokołem. W ostrokole, nieco ku lewej stronie, brama z polnych głązów zbudowana; jej łuk zamyka brona drewniana, czyniona do spuszczenia i podnoszenia. Poprzez kratę brony widok rozległy na wzgórza puszcza porośłe i na równiny bagniste. Lewy bok podwórza zajmują tyły zabudowań stajennych pod strzechą. Zabudowy te wychodzą na drugie podwórze dla widza niewidoczne. Prawą stronę podwórza, naprzeciwko stajen, tworzy niskie dworzyszce zbudowane z poczerniałych, grubociosanych pniów i strzechą posyte. Strzecha ta – wystająca znacznie naprzód i słupami drewnianymi popodpierana – stanowi hyz, czyli rodzaj podcienia, które rozciąga się wzdłuż całego dworzyszca. Pod hyzem nalepa gliniana, na niej ognisko. Nad ogniskiem zwisają haki do wieszania saganów i kotłów.*

*Na środku podwórza studnia kołowrotowa, kamieniami ocembrowana. Nad studnią wielkie drzewo rozciąga konary.*

*Pomiedzy hyzem a studnią, z boku, na przedzie stoją żarna. Pogodny dzień letni, godzina południowa. Śwityna i Wichna same: odziane zgrzebnemi koszulami, na których samodziałowe zapaski. Wichna postawiła u studni konwie i nosidła i stojąc przy bramie poziera przez bronę na dymy pożarne, buchające na widnokresie. Śwityna – za rękę żelaznym łańcuszkiem do żaren przykuta – mełła.*



## AKT I.







## AKT I.

ŚWITYNA

*(żelaznym łańcuchem przykowana za rękę do żaren)*

Nie wyczieraj, nie wyczieraj za bronę,  
nie najźrysz nic dobrego...

WICHNA

*(u brony)*

Oczy mi same biega  
za las czarny, za łęgi zielone —  
hań wciąż dym rudy wali.

ŚWITYNA

Nie wyczieraj za bronę!  
Ognie ino hań w dali,  
ino dymy czerwone.

WICHNA

O Śwityno, Śwityno!  
dymy rude i bure  
płyną, płyną a płyną...  
zbiły się w siną chmurę,  
zaćmiły złote lica  
Słońca Światorodzica!



ŚWITYNA

Wichno, Wichno — dziecino,  
nie wyzieraj za bronę!

WICHNA

Biada nam, biada nam  
Śwityno!  
Przed oczyma ogień mam  
i krew!... Tyło krwawych plam!...

ŚWITYNA

O nie patrz! Stamtąd strach  
na serce twoje pada  
i wid okropnych snów!  
Już stoisz cała biała  
na jawie, we złych snach  
i lęk cię chwyta znów...

WICHNA

*(z krzykiem głośnym i z obłędem w oczach)*

Śwityno! Biada, biada!  
Uciekaj! Gore, gore!  
Strach! Niemce idą! Strach!

ŚWITYNA

Twe serce — Wichno — chore,  
płacz, płacz... lęk spłynie w łzach.

WICHNA

*(przypada do siostry)*


Uciekaj przed zwałą niemiecką!

ŚWITYNA

Przytul się, przytul do mnie,  
siestruchno, dziecko!  
Ucisz się, pojrz przytomnie!

WICHNA

Na niebie czarne dymy,  
na niebie krwawe łuny...  
Krzycz! rodziców zbudzimy!  
Jadą niemieckie rabuny  
od stóp do głowy cali  
świecący stałą...  
i konie mają w stali...  
Na dworzec nasz idą  
a biją, a palą...  
Oćce, broń nas, kłuj dzidą!  
weź jasny miecz,  
weź miecz ze ściany,  
a tnij, a siecz,  
odzeń ich precz!  
... O! padł! padł krwią zalany!...  
Palą dworzyszcze białe,



płomię po ścianach pnie się,  
już w ogniu dach!  
Świtynko! skryj mnie w lesie!  
— Ja serce mam struchlałe...

ŚWITYNA

Cichaj — to płony strach,  
to ino z dawnych lat  
zwidują ci się mary...

WICHNA



Niemce zażegli świat,  
dokoła nas pożary  
i dymów zawierucha,  
a pod niemieckim mieczem  
krew czarnym bluzgiem bucha...  
— O! już my nie ucieczem!

ŚWITYNA

Pojechali Niemce, pojechali  
na rzeź, aż hen — daleko,  
do zaodrzańskich plemion.

WICHNA

Brodzą we krwi do strzemion,  
świat się za nimi pali,  
ziemia pod nimi stęka...



ŚWITYNA  
Lecz to daleko, hen — daleko,  
za borem, za odrzańską rzeką!  
Daleko! — Słysz, Wichenka!  
*(potrząsa nią)*

WICHNA  
*(ztrętowała)*

W ziemię wrosły mi nogi  
i lęk mi piersi skuł.

ŚWITYNA

Nie tobie na pożogi  
płonących patrzeć siół...  
To hen — za Odrą, gdzieś daleko,  
ty Wichno nie myśl o tem.

WICHNA  
*(przysiada u kolan siostry)*


Oczy mnie pieką, bardzo pieką...  
połóż mi dłoń na czole.

ŚWITYNA

Czoło masz złane zimnym potem...

WICHNA

Coś mnie tak pali pod powieką  
coś mnie tak w sercu kole...



ŚWITYNA

Ukoję cię, utulę!  
wyżał się na niedolę,  
męki wypłacz i bóle,  
lęk swój wypłacz i trwogę —  
ukoję cię, utulę.

WICHNA

Siestro — płakać nie mogę...

ŚWITYNA

Wstań, siestruś moja, wstań,  
ja Wichenkę niebogę  
utulę i ukoję.

WICHNA

Mam płaczu pełną krtani  
i duszę się od łkań...  
— O serce, serce moje!  
Od łez się dławię,  
żalem się krwawię,  
a płakać nie mam sił.

ŚWITYNA

Toć ja przy tobie stoję,  
utulę cię, ukoję...  
O cisz się, cisz — kochana,  
zły majak ci się śnił...

*(Wichna patrzy na siostrę, potem płakać zaczyna gorąco)*

WICHNA

*(przez łzy)*

Tyś od samego rana  
łańcuchem przykowana,  
musisz obracać żarna,  
łańcuch się w ciało wpił —  
hej dolo, dolo, dolo!  
hej dolo nasza czarna!

ŚWITYNA

Pognali nas w niewolę  
na łzy, na znój, na głód,  
żałują chleba z solą,  
rzemieniem krwawią ciało...  
Oj nie tak, nie tak wprzód  
u matki nam bywało —  
hej dolo nasza, dolo!

WICHNA

Pognali nas, pognali  
na mękę dniem i nocą,  
na żalność, na sierocą...  
Ani się kto uzali,  
ni dobre słowo powie —  
hej dolo, gorzka dolo!

ŚWITYNA

I kiedyż nas bogowie  
Z niewoli tej uzwolą?!  
Hej dolo, ty macocho,  
ty oplakana dolo!

WICHNA

A któż tam radli sochą  
oćcową naszą rolą  
gdy ociec w ziemi leży?  
A któż tam u wieczerzy  
krząta się w izbie białej,  
kto w ogniu wianki święci —  
gdy nie masz już macierzy?!

ŚWITYNA

Ich kości już zbiałały,  
nie ostał ino cień —

WICHNA

Wciąż pomnę ich... wyrznięci!  
wybici... wszyscy w pień!

ŚWITYNA

*(palec kładąc jej na ustach)*

O nie mów, serce krwawi.

WICHNA

Ja pomnę ich, Śwityno.

ŚWITYNA

Smętne duchy w on dzień  
ustoma wyszły z ciała  
i nad chmurami płyną,  
jako łańcuch żurawi,  
co się w powietrzu pławi —  
a Światowid im dał  
kraj żywny, kraj nowy!

WICHNA

Tam Niemców nie ma?

ŚWITYNA

Nie ma!

Tam się ciągiem zielenią dąbrowy,  
tam z łukiem, z pękiem strzał  
duchy idą na łowy,  
a Światowid na przedzie,  
— bóg z twarzami czterema,  
na siwym koniu jedzie...


WICHNA

Tam Niemców nie ma?

ŚWITYNA

Nie ma!

Tam zawdy gotowy  
Stoi stół godowy



i złocistą rzeką  
słodkie miody cieką,  
tam urodne dziewczki  
na łąkach płótno biela  
— haj! cienusieńkie płótno!  
i wyciągają śpiewki  
to wesoło, to smutno...  
W złotym sadzie z kądzielą  
siedzą tam białęłowy,  
długie wiodą rozmowy  
i wiecznie się weselą,  
a naśród nich — Marzana,  
bogina zadumana  
siedzi milcząca, niema,  
między córkami dwiema  
i włos im czesze płowy...  
To kraj Dziw-Cud! Kraj nowy!

WICHNA

Tam Niemców nie ma!

ŚWITYNA

Nie ma!

WICHNA

Mów! zali my tam pójdziemy  
na łąkę, hen — do Marzany,

do tej milczącej, do niemej,  
do białej, do zadumanej?  
w kraj nowy? w kraj Dziw-Cud?  
O, mów, Śwityno — mów!

ŚWITYNA

Kto idzie tam, ten musi wprzód  
zmarwieć od stóp do głów  
i zgorzeć na stosie,  
aż duch uleci zeń w dymie  
na wschód! ku słońcu! na wschód!  
I pójdzie po łzawej rosie  
przez dolinę wiecznych snów,  
gdzie nawet wichy drzymie...  
a potem zasię przejdzie w bród  
przez siedm cichych wód  
i musi przejść przez siedem gór,  
nad morze, nad olbrzymie —  
tam w głębiach Wodnic chór  
zawodzi jego imię;  
czeka tam stary Nija,  
przewójca dusz skrzydlaty,  
we skrzydła go zawija,  
we skrzydła z orlich piór  
i niesie go w zaświaty  
po moście z jasnej tęczy

a morze w dole jęczy  
a w piany się rozbija...  
Na ostrów pośród słonych wód  
niesie go stary Nija,  
a gdy go stawi na ostrowie,  
przychodzą witać go przodkowie,  
przychodzi cały ród...  
i wieniec kładą mu na głowie  
i miodem piją jego zdrowie  
bo wstąpił w Kraj Dziw-Cud!

WICHNA

Tam bracia przydą? ociec? macierz?!

GERTA

*(wybiega z dworca)*

Pogwarki? znów pogwarki?!  
a rzemień ten mój znacież,  
pogańskie wy mitęgi?  
Zgoiły wam się karki?  
już zeszły sine pręgi?  
Nie chcecie ziarna mleć!  
nie chcecie rąbać drew!  
— Mam darmo dać wam żreć?!  
...A ciągi! ciągi! ciągi!  
aż z ramion tryśnie krew...

*(przykutą do żaren Świtynę chwyciła za warkocz i bije*

*rzemiennym pasem; Wichna rzuca się między Gertę  
a siostrę... W dali trąby grzmia odległym głosem, od-  
powiadają im surmacze nad bramą)*

GERTA

*(na odgłos trąb przestaje katować Świtynę)*

Wracają... Nuże! żywo!  
w skok biegaj na podsienie,  
pal ogień, warz mięsiwo...

*(do Wichny)*

Noś wądę do kąpieli,  
pogańskie psie nasienie!

*(do nieruchomej Śwityny)*

Jeszcze tu stoisz, kłodo?!

ŚWITYNA

*(spokojnie na swój łańcuch wskazuje)*

Trza—łańcuch byście zjęli...

GERTA

*(łańcuch zdejmuje z gniewem)*

Milczeń, słowiańskie szczenię!

*(do Wichny dźwigającej wodę ze studni)*

Ty kukło! Raźniej z wodą!

*(wynosi z dworca dzban piwa i stawia u podsienia. Tuż  
za broną ryki trąb i głuchy tupot kopyt końskich —  
brona podnosi się z wolna. Wjeżdża garść niemieckich  
rycerzy w blachach pokrytych kurzawą i krwią. Przy*

każdym pachoł pieszy, wiodący konia za uździenicę,  
a drugą ręką niosący tarczę. Na czele Hado. U siodła  
jego na pętli za szyję przytroczony, wlecze się Dembiec,  
lirny ślepiec, siwy i bosy. Ręce powrozem w tył skrepo-  
wane, głowa zwieszona, od karku zwisa mu na rze-  
miennym pasie wielka lipowa lira. Rycerze wjeżdżają  
na przyległy dziedziniec; głosy ich zmięszane i szcze-  
kanie zdejmowanych blach słycać długo. Hado zsiada  
z konia u brony, pachoł jego Wolfrich odprowadza ru-  
maka za innymi. Dembiec zostaje w głębi, u brony, która  
zasuwa się powoli. Śwityna i Wichna od swych prac  
przyzieraają mu się zdala wzruszone i zdziwione)

GERTA

(przystępuje do Hadona. Powitanie. Spozstrzega zbroję  
ukrwawioną)

Rannyś?

HADO

To krew z ich ran,  
podła, słowiańska krew:  
dokoła cały kraj  
posoką taką zlan...

GERTA

(rozpromieniona)

Tyś mąż mój, tyś mój lew!

HADO

(szorstko)

Pić, Gerta — pić mi daj.

(zdejmuje hełm)

GERTA

(nalewając)

Wyniosłam piwa dzban,  
pij zdrowo — panie mój.

(Hado pije)

Utrudzon jest mój pan:  
na czole zasechł znój,  
na zbroi krew i kurz...  
przy studni w chłodzie siądź,  
zdejm pancierz, blachy złóż...

HADO

(siada na cembrowaniu studni)

Gdzie Wolfrich?!

GERTA

Zbroję zjąć?

(do Wichny, która z głębi nadeszła z próżnemi kon-  
wiami u jarzma na karku)

Dziewko, pójdź — panu służ!

HADO

(rozkracza i wyciąga przed siebie opancerzone nogi)

Odpinaj blachy z nóg...

WICHNA

(przykłęka by zdejmować nagolenniki. Nagle wzdryga  
się, cośa ze zgrozą ręce od nóg Hadonowych i jęczy,  
zasłaniając oczy)



Krew... krew!... Och tylo krwie!  
tylo krzepnących strug!

HADO

Precz, głupia!

*(odtrąca ją nogą. Wichna z klęczek pada na ziemię  
i płacze cicho)*

ŚWITYNA

*(z pod hyżu przybiega)*

Jest nas dwie —

ja zdejmę...!

HADO

*(odpycha Świtynę kulakiem)*

pójdzież won!?

*(ogromnym głosem krzyczy w stronę drugiego dziedzica)*

Wolfrich!!

GERTA

*(wygrazając pięścią Świtynie)*

Ty! Bóg cię skarż!

Czego tu? jadło warz

A zbroję zdejmie on.

*(ukazuje na Wolfricha nadbiegającego od stajen i wraz  
z nim odchodzi szybko do dworzyszczu za Hadonem)*

ŚWITYNA

*(pojrząwszy za odchodzącymi podnosi siostrę)*

Wichno moja, siostrzynko jedyna!...

WICHNA

*(tuli się do niej z płaczem)*

W białym dworcu naszego rodzica  
lepiej było — stokroć lepiej — psom!

ŚWITYNA

*(wyciąga pięść ku dworcowi)*

Klątwa na nich i czarna godzina!

*(klęka nagle, ziemię przed sobą zgarnia i klęcząc wznosi  
ją w obu dłoniach wysoko ponad głową. Straszna jest  
ze zbiełałą twarzą i palającymi oczyma; głosem ochry-  
płym i syczącym poczyna zawodzić)*

Ciebie wołam, Pioruna-Bożyca,  
na ich głowy czerwony rzuć grom!  
— Słysz, Pomoro, śmiertelna Bogina,  
trupią rękę swą kładź im na lica!  
— Słysz Martwicho, nocna Upiorzyca,  
przyjdź i serca ich wyżrej, o sina!  
— Pomsty! pomsty naszym gorzkim łzom!  
klątwa, strata — zatrata w ich dom!  
klątwa na nich i czarna godzina!  
klątwa na nich i biada — przebiada  
z ziemi, z wiatru i z nieba niech pada...  
Hej! Pomora! Martwicha! i Grom!

*(Ziemię, którą trzymała w dłoniach ponad głową —  
wyrzuca na wiatr, ku niebu i wstaje)*



DEMBIEC

*(w głębi u brony)*

Klątwa na nich i czarna godzina!  
i Pomora, Martwicha i Grom!

*(obie dziewczęta na głos dziada obracają się ku niemu;  
W tej chwili w progu dworzyszczą staje Wolfrich z tar-  
czą i młotem wojennym Hadona)*

WOLFRICH

Nuże dziewczki, brać jadło do stoła!  
zaczem kubki na wino trza myć...

*(trzykroć uderza młotem o tarczę i woła mocnym  
głosem)*

Pójdźcie mięsiwo jeść, rumiane wino pić.  
do jadła wódz was woła!

*(dziewczęta z nalepy zdejmują sagan z jadem, dy-  
miący i niosą za ucha do dworzyszczą. Zaraz potem ry-  
cerze kupą wychodzą z drugiego dziedzińca. Rozodziani  
ze zbroić i hełmów, w łosiowych miękkich opończach,  
z gołemi głowami przechodzą do dworca gwarząc,  
śmiejąc się, pokrzykując. Niektórzy grudami ziemi rzu-  
cają w stronę Dembca, inni urągliwie wskazują nań rę-  
koma i szydzą).*



## AKT II.





## AKT II.

ŚWITYNA

*(półgłosem do Wichny pozierając ku Dembcowi)*

Ja wiem, co zacz on lirny dziad...  
pamiętasz go w dworcu naszego rodzica?  
ociec go zawdy witał rad —

WICHNA

Nie pomnę dobrze, lecz te lica  
zaschnione, zwiędłe znam  
i rozwichrzoną brodę białą...

ŚWITYNA

Ono mi się nie majaczy, nie śni!  
radość była, gdy przychodził k'nam:  
— O, Łado, Kołado, Kupało!  
...Pamiętam i dziada i pieśni,  
pamiętam, gorzała sobótka,  
powietrze od krzyków huczało:  
O, Łado, Kołado, Kupało!  
— Ty nie wiesz, ty byłaś malutka...  
A potem zaś krzyki ucichną,  
on śpiewał, a lira mu w śpiewie  
wtórzyła... Pamiętasz to, Wichno?



WICHNA

Jak sen mi się coś odpomina:  
pamiętam ogromne zarzewie...

ŚWITYNA

to było zarzewie sobótek

WICHNA

pamiętam i lirę... dziecina,  
myślałam, że w liry tej drzewie  
zamkniona jest dusza, co smutek  
i ból srogi cierpi, a jęczy,  
a dziad, kiedy gra — to ją męczy...

ŚWITYNA

Stań, miła, przy studni na straży,  
a ja mu dam napić się warzy

*(bierze naczynie gliniane z nalepy i podchodzi do ślepca)*

Pijcie stareńku złoty,  
ku dzbanu schylcie głowy...  
pijcie stareńku...

DEMBIEC

Kto wy?

ŚWITYNA

Niewolne my sieroty —

*(Dembiec pije z dzbanu, który mu Swityna przy ustach  
trzyma)*

My gdzieś was niegdy znały,  
w oćcowym dworze pono,  
nad Łabą, nad zieloną...  
Kto wy, stareńku biały?

DEMBIEC

*(odjawszy usta od dzbanu)*

Ja? — Ślepiec ubogi,  
lipową gęśkę niosę,  
do krwi schodziłem nogi,  
te stare nogi bose...  
Po świecie białym chodzę,  
a noc na mojej drodze  
i czarno i ciemno  
za mną i przedemną  
dokoła!  
Idę we świat, w daleki —  
od siola do siola,  
przez góry i rzeki,  
przez bory i pola,  
dżdże sieką i palą mnie spieki...  
— taka już moja dola!  
Chodzę, chodzę z siół do siół,  
sadzają mnie wśród pasieki,  
kędy pełno brzęku pszczół,  
abo na pośród sadu,

stawiają miód i kołaczę  
przedemną na stół  
i mówią mi: — śpiewaj dziadu!  
— Ja im śpiewam i śpiewam... a płacę,  
śpiewam to, co lud w swem sercu czuł...  
W moich pieśniach jest szum  
puszcz, które wichy gnie  
i zapomnianych dum  
głos, który słyszę w śnie;  
jest w nich sierocy płacz  
jest w nich niewoli jęk  
i rdzawych mieczów szczęk...  
Już ano wiesz — ktom zac.

ŚWITYNA

A pomnicie wy knęzia Olszana?

DEMBIEC

co knęziował Moraczanom sławnie?  
— Nie mam pomnieć?! — Siłakroć do rana  
słuchał pieśni na swym dworcu w Pławnie...

ŚWITYNA

przyšli Niemce na białe dworzyszczę...

DEMBIEC

(przerywa)

sześć lat będzie... niedawno... niedawno...

ŚWITYNA

lud wybili i zażegli Pławno  
ino trupy ostały a zgliszczę...

DEMBIEC

Knęż był ubit...

ŚWITYNA

My dziewczki nie cudze:  
Olszanowe i Wilicy knęzi  
— Niemcom służym w najlichszej posłudze!

DEMBIEC

Wy? u Niemców?... Knęziówny?... w uwięzi?!

WICHNA

(przysłuchując się z daleka rozmowie, stała na straży  
pod studnią, pozierając do wnętrza domu)

Ktoś hań wyszedł do sieni...

ŚWITYNA

(usunąwszy się od Dembca, coła się razem z Wichną  
najdalej od dworzyszczę, pod ścianę stajen)

to Hado...

za nim Wolfrich...

WICHNA

(szepem)

już staje u hyza...

ŚWITYNA

(szepciem)

sklaskuje rękoma swe chłopy...

*(na klaskanie Hadona wypadają pacholy z drugiego dziedzińca. Dziewczęta wyleknione przylepiają się do ściany stajennej. Hado, groźny, zaczerwieniony trunkiem wskazuje ręką na Dembca: pacholy chwytają lirnika i w ślad za Hadonem wloką go do szopy w głębi)*

WICHNA

(ze zgrozą)

Patrz, wloką starego do szopy...

*(Wolfrich wchodzi ostatni do szopy i dźwirze za sobą przywiera. Cisza. Obie branki osłupiałe tulą się ku sobie. Po chwili Śwityna skrada się ku szopie, dając Wichnie znaki, żeby za nią nie szła. Sama przez szczelinę w chruście zaziera do wnętrza i patrzy długo)*

ŚWITYNA

*(odjawszy oczy od szczeliny, drżącym szepciem mówi odwrócona)*

Na ziemi... na ziemi go kładą,  
pytają, on wargi zagryza

*(znowu zaziera a potem szepce)*

dybami skleszczyli mu stopy,  
wieszają go w górze... za ręce

*(zaziera i szepce odwróciwszy się ku Wichnie)*

na sznurach pod belkę z nim jadą  
i pełna ich przekleństw jest szopa...

WICHNA

*(pchana tajemniczą siłą przerażenia, zbliża się do szopy jakby niesamowolnie i zaziera przez szczelinę)*

ŚWITYNA

*(chce ją odciągnąć)*

Nie... nie trza przyzierać się męce...!

nie... nie trza!...

*(Wichna długo patrzyła — nagle odwraca się: na twarzy jej szalona odraza i błądy strach; biegnie przed siebie na oślep, jakby uciekała: usta wykrzywione, oczy rozwarłe od zgrozy. Śwityna biegnie za nią. Wichna chwyta się za głowę rękoma i szybko, zdławionym szepciem mówi na pół nieprzytomna)*

WICHNA

Okropa... okropa!

kość każda w nim trzeszczy i zgrzyta...

och... stary, uwieszon u belki,

wciąż milczy... a Hado wciąż pyta!

— Widziałam... krwi czarne kropelki  
z ust wyszły, po brodzie mu ciekły...

twarz, trupią sinością okryta,

kością... od męki, od wielkiej...

a wargi ni słowa nie rzekły!

ŚWITYNA

*(chwytając ją za ręce i uspokaja)*

Już nie mów... drżysz cała od zgrozy

— O, Wichno! niemiecki wilk wściekły  
napastwi się nad nim do syta,  
lecz na nic ich kleszcze, powrozy!

WICHNA

O! włosy mi cierpną na głowie!

ŚWITYNA

A wiesz, o co Hado go pyta?

— Skąd? jacy się ruszą wojowie?

...Katuje go, miota się, krzyka,  
dziad zamrze a słowa nie powie!

*(Dźwirze od szopy rozwierają się: wychodzi Hado, za nim Wolfrich i pacholy niosący zemdlonego Dembca.—  
We drzwiach dworca pod hyzem staje Gerta)*

GERTA

*(do Hadona)*

Wróć do stoła...

HADO

*(rozjątrzony)*

mnie teraz nie w głowie  
wasze wino i wasza biesiada!  
— Wolfrich! niechać przy studni każ dziada

GERTA

*(wylekniona)*

Złe nowiny?

HADO

*(opryskliwie fukając)*

Tyś pytać nie w prawie!

— Nie ma nowin! on mrze, a nie gada...  
pies słowiański!

GERTA

ty siądź przy zabawie...

*(Hado stoi zachmurzony i niepewny — potem ręką  
machnąwszy, daje się Gercie pociągnąć ku dworcowi)*

HADO

*(przez zęby)*

Jutro z dziadem do dnia się rozprawię!

*(Wchodzą oboje do dworzyszczka — za nimi Wolfrich.  
Pacholy na drugie podwórze odchodzą, rzuciwszy Dembca  
u studni. Dziewczęta przypadają do lirnika i pochylo-  
ne nad nim, długo cucą go wodą)*

WICHNA

*(niespokojnie)*

Żyw jest?

ŚWITYNA

Wej — dycha ledwie

*(cucą go przez chwilę)*

DEMBIEC

*(mdłym głosem)*

Wody...

ŚWITYNA  
a pójcie — toli!  
*(wlewa mu wodę do ust)*

DEMBIEC  
*(na pół przytomny)*  
Kto przy mnie?

ŚWITYNA  
my obiedwie;

DEMBIEC  
Kto?

ŚWITYNA  
córy dwie, Olszanowe

DEMBIEC  
*(po chwili ruszywszy się, jęczy)*  
Och boli, wszystko boli,  
wszystko jak jedna rana!

ŚWITYNA  
Przeboli wasz ból srogi  
*(przemywa mu twarz)*

DEMBIEC  
*(oprzytomniawszy, dźwiga się ciężko i znów opada  
ręce rozpaczliwie podnosi)*

Nie dajcie wy mi bogi,  
nie dajcie mrzeć w niewoli!

Życ chcę! żyć,  
aże słońce pod ziem  
twarz złotą znijdzie kryć —  
ostatnim tchem  
żyć chcę! żyć,  
by ino do wieczora,  
aże ognista wić  
na wierchach gór zapłonie,  
aż surmy rykną z bora  
i zarzą w lesiech konie,  
aż w mroku brząkną bronie  
i pryśnie bron zawora...  
Życ chcę! żyć,  
by ino do wieczora!

ŚWITYNA  
*(zdumiona i poruszona)*

Prządziecie taką mowę,  
jako zwiłkana nić...

DEMBIEC  
*(spokojnie)*

Ano wy, knężkie córny,  
sieroty Olszanowe,  
dźwignijcie mnie do góry,  
podnieście wy mi głowę,  
a bacście na mą mowę...



*(nagle zatrzymuje się, — wypręża i pyta szeptem)*

Nie słucha Niemiec który?

ŚWITYNA

Nie masz tu z nich nikogo...

WICHNA

Za stołem są we dworze.

DEMBIEC

*(z razu stłumionym głosem, potem rozpala się własnymi słowami i mówi coraz szybciej i głośniej)*

Het, gdzie puszcza, gdzie bezdroże  
krytym ślakiem, cichą nogą  
ciągną, płyną — jako morze,  
ludy mnogie z mocą srogą...  
Gorze Niemcom! Gorze!

— Hobolany a Sprewiany  
od północnej ciągną ściany  
z ziemie jeziormi oblanej,  
kędy szumią dęby sośnie  
a chłop w chłopu dębem rośnie...

— Idą, ciągną od zachodu  
woje z Nieletyczów rodu,  
od Jarowita kontyny  
z ostrowu na Łabie sinej.

— A od strony południowej  
ród Milczanów idzie płowy

od tych bagien i od skały,  
kędy gród, Budziszyn biały...  
— A od wschodu z ponad Bobry  
lud Żórawian ciągnie chrobry  
z rodnych pól, gdzie pełne zboże...  
Gorze Niemcom! Gorze!

*(z uniesieniem)*

...Orzeł-li to biało-pióry  
w złotem słońcu koła toczy  
i ów mnogi lud jednoczy?  
Miesiąć-li to wyszedł z chmury  
i nad wszystkim władnie z góry  
a z nim gwiazd świecące oczy?  
— Oj, nie miesiąc to świetlany  
oj, nie orzeł rozpostarty,  
ino Mieszko z ponad Warty  
wiedzie swe Polany:  
od Mogilna, ode Kniezna  
i z nad Gopła od Kruświcy...  
lud on hardy, krasolicy  
miody syci, ziemię orze  
a przed Niemcem trwogi nie zna...  
— Gorze Niemcom! Gorze!  
Krytym ślakiem, cichą nogą  
zawsząd, zawsząd ciągną nasi...  
— staną w okół z mocą srogą

dzisiaj o wieczorze,  
skoro czarna noc pogasi  
nad puszcza rumiane zorze...  
Gorze Niemcom! Gorze!

ŚWITYNA  
(*gorejąca uniesieniem*)

To dziś, to dziś ma być?  
w dzisiejszy wieczór już?  
Nadciągną o zachodzie zórz  
i w Niemców będą bić!...  
— O, dobraż wasza wieść!!  
Z niemieckich serc i trzew  
do gwiazd niech tryska czarna krew!  
Siec! Rznąć! Do izna zgnieść!


DEMBIEC  
W Radogoszczy, w świątynicy  
widuny widali znak:  
na Radogosta przyłbicy  
krogulec, wojenny ptak  
ostrzy pozłocisty dziób,  
szade pióra jurzy,  
skrzydłami trzepoce,  
jakby lecieć miał na łup —  
...Niemcom źle to wróży!  
Topór we dni a w nocy

w Radogostowej dłoni  
krew, krew rumianą roni  
i chram u Bożca nóg  
w krwawej stoi kałuży —  
...Niemcom źle to wróży!  
Radogosta pawęża  
sama brząka i dzwoni —  
Radogostów święty łuk  
sam się gnie i rozpręza —  
Radogostów kręty róg,  
bojowy róg turzy  
sam ze się pograwa  
nito grom śród burzy...  
— Radogostu sława,  
a Niemcom śmierć krwawa!  
Haj!

ŚWITYNA  
Bogdaj ono plemię  
zginęło a zczezło!  
rada-bych ja, rada!

(*do Wichny*)  
A ty wbijasz oczy w ziemię?  
zbielałaś, by giezło?

WICHNA  
(*cicho*)  
Lęk mnie, lęk opada...



nie pytaj, czemu blednę?  
ino mnie stąd weź,  
niech oczy moje biedne  
nie patrzą na rzeź...!  
Serce we mnie dygota  
przeima mnie cierpota...  
— Skryj mnie pod ziemię gdzieś!

DEMBIEC

Bogdaj-bych miał tve oczy,  
bych widał, jako broczy  
mój lud w niemieckiej jusze,  
bych widał, jak z żywota  
miecz im wygania dusze —  
a zadrgą moje kości  
i serce zadygota  
od wielgiej, od radości!  
Nie nam dziś drzeć od lęku,  
gdy Niemce w naszych ręku  
i zgnieść ich możem w szczęt...  
Hej, córny Olszanowe  
na moją baczcie mowę:  
za waszą to przyczyną  
ten grojec będzie wzięt,  
Niemce do cna wyginą!

ŚWITYNA

(porwana tą mową)

a jakoż to być ma?  
dziewki my dwie niemocne...

DEMBIEC

Kieby nie ona ćma  
w oczach, nie męty nocne,  
co świat mi słońią biały —  
dziśby tu o wieczorze  
te bronny, dwór a tyny  
ogniami rozgorzały!  
Żagiew-bych wziął z nalepy  
i palić!... inom ślepy...  
— Wzdyc to i dziewczka może.

ŚWITYNA

(z wybuchem ogromnej radości)

Palić! Buchnie płomie,  
stołb rozgoreje jaśnie,  
a luda czarniawa  
ogniowi odwrzaśnie  
i bronny rozłomie  
i tyny pozrywa...!

DEMBIEC

Radogostu sława  
a Niemcom śmierć krwawa —  
nie ujdzie noga żywa!...

ŚWITYNA

*(jakby młotem w piersi uderzona, cofa się i gaśnie na twarzy)*

Nie ujdzie... ani noga?

DEMBIEC

*(nie przeczuwa wrażenia swych słów)*

A jakoż ujść ma stąd?  
miecz w koło i pożoga!

ŚWITYNA

*(tuli Wichnę, która twarzą do piersi jej przyległa)*

A ta?

DEMBIEC

Kto?

ŚWITYNA

siostra moja!

ino mi o nią trwoga!...

DEMBIEC

*(twardo)*

Na Niemce dzisiaj są,  
ogniowa kaźń i zgon,  
i ninacz dzisiaj zbroja,  
ni koncerz, młot, ni drzewce!  
a kędyż ma być schron  
mdłej a niebronnej dziewce?

— Ja śmierci się nie boję,  
rad oddam życie moje  
z Niemcami, z Niemcami dziś społem!  
— jutro w świętej krainie,  
kędy miód z mlekiem płynie  
z oćcami pod lipą za stołem  
z oną lirą se siednę  
a zaśpiewam im pieśnię —  
oj niejednę, niejednę  
o tem, siłam tu we śnie,  
we śnie ziemskim wycierpiał z Niemcami!

ŚWITYNA

Nie pójdziecie hań sami:  
ja też trwogą nie zblednę —  
na nią ino zawczasie, zawczasie,  
na nieboże to biedne!

DEMBIEC

*(niecierpliwie)*

Wzdy ją wywiedz za brony,  
niechaj uchodzi w puszcza.

ŚWITYNA

Niemce tu z wszystkiej strony,  
ni cienia nie przepuszczą:  
na bronach czują strażę!  
— Daremne rady wasze,

nikt tego nie dokáže  
chyba skrzydloma ptaszę!

WICHNA

*(pół szeptem, pół płaczem)*

Ja przy tobie, przy tobie  
Śwityno!  
żyć-li, umrzeć-li obie!

ŚWITYNA

Idź stąd, odstęp — dziecino!  
Nie tobie, haj, nie tobie  
słuchać takiej rozmowy  
śmiertelnej a ogniowej...

*(Wichna z głową zwieszoną odchodzi i zadumana siada pod hyzem)*

DEMBIEC

Idzie, idzie godzina  
wyczekana, jedyna!  
Którzy naszą krew lali,  
w łzach się naszych kąpieli —  
zczeszna w ogniów czerwieni,  
zdechną mieczem zgładzeni,  
świat się na nich obali!  
— Idzie, idzie godzina  
wyczekana, jedyna...  
— Grojca-ż nikt nie podpali?


*(na pół podniesiony na barłogu, zmacał ręce Śwityny i potrząsa nią mocno. Śwityna stoi długo, niema w męce serdecznej)*

ŚWITYNA

Jam ją pod końskimi kopyty  
słoniła własnym ciałem,  
gdy ociec nasz padał, ubity  
u dworca w Pławnie białem...  
jam głodem tu wciąż przymierała,  
by jej dać sytość jadła;  
na golej-em ziemi sypiała,  
izby się ciepło kładła;  
jam za nią w robocie od rana  
stękała, jak noc długa;  
za nią ja stawałam krwią zlaną  
pod razem ich kańczuga:  
cierpiałam skrós niej do ostatka...  
Nie siestram! istna matka!

DEMBIEC

Jam od lat trzechdziesiąta  
nie znał własnego kąta,  
ino chody, obchody  
między ludzkie narody,  
ode płota do płota  
choć na oczu ślepota...



Bywało, chleba braknie  
na pokrzepę żywota,  
bywało, krople wody  
na próżno człowiek łaknie!  
Cóż mną po świecie miota?  
— One chody, obchody  
z zagrody do zagrody  
nie prze siostrę, ni brata,  
nie prze córkę, ni syna!  
Schodziłem ja pół świata  
i tułam się chudzina  
wiesz — prze co?!  
Z pieśniami, co świt lecą,  
ludziom w oczu lżą świecą  
w serca żywy żar miecą,  
a Niemcom... wojnę niecą!  
— Nim w jeden pierścień srogi  
sprzągłem on naród mnogi,  
do krwim wprzód schodził nogi,  
te stare nogi bose,  
aż dzisiaj, z długiej drogi  
lirny ślepiec ubogi,  
Niemcom darem... śmierć niosą!

ŚWITYNA

Ja chcę, ja chcę niech giną!

Lecz jakoż mam siostrzyną  
dać krew na śmierć straszliwą?  
— Nie ujdziec ona żywo,  
kiedybych ja łuczywo  
przytknęła ku strzesze...  
— Bez tego zbrojne rzesze  
nie dobyłyżby grodu?  
Gdy górę w krąg oblegą,  
wezmą grojec bez tego!

DEMBIEC

*(smutnie chwieje głową)*


Oreźnego narodu  
ciągnie hań wielgie mrowie...  
Znam ich: żywot i zdrowie  
radzi w boju położą,  
ni przed czem się nie strwożą,  
ale... nie wezmą grodu!

ŚWITYNA

Prze to, że niedostany  
na wierchu skalnej ściany?

DEMBIEC

Rozprzegą się od głodu!  
Takie ludu gromady  
kto haw długo wyżywi?  
przydzie na nie głód błady



rozbroi je, rozekliwi...  
Przydą waśni a zwady,  
a zawiści, a jady...  
znam ich: jako swarliwi!  
niezgoda je rozżenie  
Niemcom na pocieszenie  
i przeminie godzina  
wyczekana, jedyna!...  
— Chcesz-li Niemcom zagłady?  
miej serce, jako stal!  
nie masz inakszej rady:  
grojec wieczorem spal!

ŚWITYNA

Nad rozwalony grojec on,  
nad tej niemieckiej garści zgon,  
milsza mi krew siostrzyna!

DEMBIEC  
(z goryczą)

Śwityna! hej! Śwityna...  
wzdyć ona garść rycerzy  
na piersiach głazem leży  
i życie z nas wyciska,  
a wszędy wkół grodziska,  
od Odry do łabianych wód  
niewola, zgorzeliska

i w udręczeniu ginie lud...!  
— Rozumiesz?  
(chwytą ją za rękę — Śwityna wyrywa się)

ŚWITYNA


Puść mnie, dziadu, puść!

DEMBIEC

Ta garść rycerzy i ten gród,  
to w żywe ciało wbity gwóźdź!  
Garść, jedna garść rycerzy:  
niemictwa to plugawy wrzód!  
— Nie dać mu rósć!  
wyrznąć, wypalić do korzeni,  
bo jad rozszerzy,  
bo się rozmoże i rozpleni...  
...Wypal! Zlecż cały lud!

ŚWITYNA

Nie kuście mnie, nie dręczcie mnie  
człowiecze!  
swe życie dam, na ognie dam,  
na miecze...  
z niemiecką krwią, niech moja krew  
pociecze  
lecz zabić jej, tej siostry mej  
nie mogę!



Jej nie dam z rąk na śmierć wśród mąk,  
w pożogę...

DEMBIEC

Żyj! pomstę złóż a Niemcom służ  
i ona niech służy!

ŚWITYNA

Jej nie dam! Nie!... Nie dręczcie mnie!  
Nie słucham was dłużej...

*(wybiega — Dembiec siedzi wyprostowany, z wyciągniętą  
szyją i rozwartymi szeroko ślepymi oczyma, jakby ska-  
mieniał; Wichna pod hyzem, twarz opuściła aż na ko-  
lana i płacze).*



## AKT III.







## AKT III.

DEMBIEC

*(w rozpaczę miota się na ziemi pod studnią i bije się pięściami po głowie i po piersiach, zawodząc)*

Och, nadchodzi godzina  
wyczekana, jedyna  
i minie, przeminie...  
Biada mi, biada, biada!  
przekłete wy obie dziewczynie,  
skroś was wszystko przepada!  
— przekłete wy ślepe źrenice,  
ognia skroś was nie podłożę!  
Wszystko idzie na nice, na nice...  
gorze mi! gorze! gorze!

WICHNA

*(siedziała pod hyzem — podnosi się zapłakana i idzie wprost na Dembca)*

Co wy ze Śwityną,  
ze siostrą gadali —  
słuchałam we łzach...  
jam-ci jest przyczyna,



że grojca nie spali  
i Niemce nie zginą...

DEMBIEC

Przecż nie imiesz łuczywa?...  
WICHNA

WICHNA

*(nagłem przerażeniem owładniona, cofa się i obie dłonie do policzków przykłada wołając ze zgrozą)*

Nie! Strach mi ognia! Strach!...

*(wybucho łkaniem rozżalenia)*

Com ja krzywa?! Com krzywa?!  
— Skroś mnie to nieszczęście,

wszystko idzie na nice... na nice!  
bogdajem się nie była

na biały świat rodziła!  
umrzeć było dzieciną,

gdym ssala pierś matczyną...  
abo mi Bóg daj ninie

trupem paść w tej godzinie!

*(zastania twarz rękoma)*

DEMBIEC

*(całem ciałem dygoce pod nagłem wewnętrznem poruszeniem; po twarzy jego przelatują błyskawice groźnych myśli; zmagające się w nim uczucia łamią się na zbiegających wargach)*

Milcz...! W oczach mi czerwono...  
w myślach moich krew płynie...

milcz... milcz...! w takiej godzinie  
nie budź mową szaloną  
ogromnych onych mocy,  
co śpią w otchłaniach nocy  
pod Osądu przysłoną...

Hej, nie minie... nie minie  
to co komu znaczone..!

— ...w myślach moich krew płynie!...

WICHNA

*(w swoim żalu zatopiona, nie pojmuwała słów Dembca; odejmuje ręce od twarzy i zawraca do poprzedniej swej myśli...)*

A jakież ja tu życie mam,  
odkąd w niewolą wziętam?  
sam ból i samą krzywdę znam:  
to jedno tu pamiętam...

*(z wybuchem nowej żalości)*

Bo tego ani wy nie wiecie,  
jako źli są Niemcowie...  
źli! tak są źli, że nikt na świecie  
ich złości nie wypowie!

DEMBIEC

*(ogarniony ogniem bezgranicznej nienawiści, mówi dla-wionym od gniewu głosem)*

Gdzie Niemiec nogę stawi,  
tam ziemia sto lat krwawi...

gdzie Niemiec wodę pije,  
tam źródło sto lat gnije...  
gdzie Niemiec tchnie trzy razy,  
tam już sto lat zarazy...  
gdzie Niemiec rękę poda,  
tam już przepadła zgoda,  
bo wszystko mu zawadza,  
nad czym nie jego władza:  
źle żaby w stawie rechcą,  
bo po niemiecku nie chcą!...  
i ptak go w lesie gniewa:  
nie po niemiecku śpiewa!  
— Choćbyć co miał lat tysiąc,  
jego jest — gotów przysiądz...  
mocnych oszuka, zgrabi  
a zdusi tych, co słabi...  
By w niebo była droga —  
obdarłby nawet Boga  
i ujrzym jeszcze snadnie,  
jak słońce z nieba skradnie!

*(nagle inną myślą tkniony, zgoła innym, zaniepokojonym głosem pyta)*

A słońce-li wysoko?

WICHNA

*(pozierając przez brzołę)*

Nad górą, nad zieloną

chmury się białe wloką  
i płoną  
pierwszą jasnością złotą,  
ale już cień w dolinie.

DEMBIEC

*(na pół do siebie, chwiejąc głową ponuro)*

Hej, co komu znaczone —  
nie minie...  
Żal mi cię, żal sieroto!  
— Kto strzyma słońca bieg?  
Kto wróci wodę rzek?  
...Niech litość w sercu milczy!  
taki czas, taki wiek,  
świat jest w paszczęce wilczej!

*(Wichna słuchała pochylona nad nim, z odcieniem lęku i zdziwionymi oczyma)*

WICHNA

Jak wyrozumieć was?  
wasza mowa zawila  
tak mi się dziwno zdaje...

DĘBIEC

Siłaby gadać, siła...  
wyrozumiesz ty wczas...  
— O! serce mi się kraje,  
biedni my, biedni, biedni!

(miękkko)

Pójdź haw, dziecino miła  
siedni se przy mnie, siedni  
a podaj mi ręce...

(wzruszony, ręce obie ku siedzącej Wichnie wyciąga)

Nie bój się — ja czyste mam,  
jak twoje dziewczęce,  
nie mam na nich jeszcze plam  
krwią niewinną niezmazane  
jakom żyw!

Jutro... jutro przed ojcami stanę  
całe koło pod lipą zasiędzie,  
do rąk wezmę to moje narzędzie...

(rozpaczliwie)

Pomnij..! powiesz... powiesz...

Com ja krzyw?!

WICHNA


Co, — komu ja mówić mam?...  
— Powiadała Śwityna  
jako hen, kędyś tam  
jest szczęśliwa kraina,  
bo Niemców tam nie będzie...  
Pójść hań, czy straszno wam?  
tu Niemce wszędzie, wszędzie.,  
i wy tam pójść nie chcecie?  
doprawdy?!

(zamyśla się)

Czy my nigdzie na świecie  
nie mamy własnej ziemi,  
ni spokoju przed niemi?...  
Zawdyż tak było? zawdy?!

DEMBIEC

Bogowie ziemię dali nam wolną,  
góry i jasne wody  
i bór i niwę rolną  
i sady i zagrody  
i na pastwiskach trzody  
i w ulach złote miody  
i w spichrzach pełno żyta...  
mieliśmy tu do syta  
i chleba i swobody...  
I pieśń była przy żniwie,  
z pieśnią szło się na łowy  
i śpiewały tęskliwie  
dziewki a białęłowy  
przędące zimą len,  
bielące wiosną płótno...  
Aż od zachodu — hen,  
ze świata wielgiej dali  
przyśli z mocą okrutną  
Niemcowie zbrojni w stali...  
oj przyśli nieproszeni



w pożarnych łun czerwieni,  
pola trupem zasłali!  
— Odtąd w bólu i w męce  
rodzimy się i mrzemy,  
a niemiecki gad,  
na jęk i na łzy niemy,  
w zakrwawionej paszczęce  
zgryśby nas do krzty rad!!

*(długie milczenie, Wichna stoi zadumana z głową na  
piersi zwieszoną)*

DEMBIEC

*(niespokojnie, gorączkowo)*

Mów, słońce-li wysoko?  
może zachodzi już...?!

WICHNA


Nie jeszcze... Z pod złotych rzęs  
patrzy słońce, niby senne oko,  
ale zasię hań, do garbu wzgórz  
ma jeszcze znizu kęs...

DEMBIEC

Nie jeszcze? to dobrze... Wichenko,  
sława bogom za tę krzyne chwil!  
Ku mnie się skłoń i liczko schyl,  
ujźrę cię ano — ręką...

*(po twarzy jej zwolna dłonią przesuwają)*

Jaką ty masz  
dziecięcą twarz,  
dziewuchno —  
tak świeżą i młodziuchną,  
jak stokrocie wczesne,  
co kwitną na wiosnę,  
gdy ciepłe tchnienia chuchną...  
— Była niegdy, była u mnie doma  
taka córka i w takiej podobie,  
ino dawno, tylo temu lat...  
gdy mnie brała za szyję rękoma,  
gdym całował jagody jej obie  
zielenił mi się świat!  
i w niejeden'em wieczór zimowy  
grawał dla niej na lirze lipowej —  
dawno temu, tylo długich lat!  
...W onej krasie i młodej ozdobie  
była kwiatom podobna — i tobie,  
kwitła mi jako kwiat...  
ino mi ją zwarzył mróz.  
Przyszła po nią Marzana macocha,  
przez wielgą moc, przez mus  
zawzięła ją do siebie, tam...  
odtąd mnie nikt nie kocha  
i sam wciąż jestem, sam...  
— Zagrałem jej na stosie,



gdy zapalali stos  
i odtąd zawdy, skoro gram,  
w tej lirze mojej głosie  
słyszę jej głos, jej słodki głos...  
I córką — lirę mam.

WICHNA


Gdyście w Pławnie grawali  
czułam, że czyjaś dusza śpiewa  
w tej krzynie z lipowego drzewa  
i że się płaczem żali...  
— Biedniście wy, biedniście!

DEMBIEC

Opadły moje lata,  
jak z drzewa suche liście  
i wiaterek je rozmiata,  
a jam spróchniały pień...  
ale ty — kwietny pąk,  
nie znałaś wiesny tchnień,  
wiedło twe życie młode  
śródm gorkich nędz i mąk —  
...a tu już gaśnie dzień..!

WICHNA

A może na swobodę,  
ten bój nas dziś uzwoli,  
z niemieckich wyrwie rąk...



Ja was na świat wywiode  
na wolny świat — z niewoli!  
— Pójdziemy stąd z Śwityną wraz  
pójdziemy żyć we troje...  
Żyć! żyć nie na uwięzi!  
tam wolność... szumi wolny las,  
śpiewają wolne zdroje,  
a słońce skróć gałęzi  
złocistym deszczem spływa...  
Już nigdy nie poniecham was,  
już nigdy — pókim żywa!  
...Pójdziemy żyć we troje. —

*(przytula twarz pieszczotliwie do jego piersi. Dembiec rozrzewniony obejmuje jej głowę rękoma i w czoło ją całuje. Nagle twarz mu się mieni — jakby mocą nieprze-partą odrzucony, cofa się od Wichny z wyrazem zgrozy)*

DEMBIEC

Nie... nie!

WICHNA

Ja was się boję!  
ta twarz... ta twarz straszliwa!

DEMBIEC

*(ze łzami w głosie, miękko)*

O dziecko, dziecko moje,  
ty mówisz o swobodzie!...?

WICHNA

Co wam to? Łzy w źrenicach?  
Łzy! wielgie łzy po licach  
ściekają i po brodzie!  
— Co wam, stareńku? Co to?!

DEMBIEC

*(powściągając łzy)*

Toli tak... nic już... nic...  
Żal mi cię, żal — sieroto!  
*(twardo — napół do siebie)*

Nie dać z lic  
płynąć łzom  
i w piersiach żalność zgnieść,  
pomsty grom  
trzeba nieść  
niemieckim wrażym psom!  
Plugawą ich posoką  
noc czarna się zrumieni...

*(niespokojnie)*

— Mów, słońce-li wysoko?

WICHNA

W okolu z promieni  
i w łunie zórz  
stoi kula rozpalona  
nad puszcza, na górze...

DEMBIEC

*(zdławionym szeptem)*

To już?! to już?!

*(pot śmiertelny występuje mu na skronie, wargi dygotaniem chwycone latają mu poniewolnie, ręką wodzi po czole, strętwiały i osłupiony. Śwityna wychodzi z dworca i pusty sagan stawia pod hyzem. Dembiec usłyszawszy ją drgnął)*

DEMBIEC

*(półgłosem)*

Kto wyszedł na podwórze?

WICHNA

Śwityna

DEMBIEC

Ona! ona!

*(zwraca się ku Świtynie i na pół klęcząc na pół siedząc, ręce ku niej wyciąga z rozpaczliwą i grożącą prośbą)*

W twych ręku przeznaczenie —  
tam nasi...! chwyć zarzewie...  
czy w uszach masz kamienie?  
czy ich nie słyszysz?... Pal!  
niech serce tve nie wie,  
co próżny żal —  
miej moc., miej moc!..  
na Niemców padnie strach,

to ich ostatnia noc,  
śmierć na nich zwal!  
W twych ręku przeznaczenie...  
leć w ogniach, w skrach,  
ciskaj płomienie  
pod każdy dach...  
pal! pal! Śwityna — pal!

ŚWITYNA

*(rzuca się w tył aż ku hyzowi)*

Nie chcę... nie mogę... Nie!

DEMBIEC

*(podnosi się, groźny, z twarzą skością od zaciekłości)  
(chrapliwym głosem)*

Ty... pomnij... zmuszasz mnie!

*(Wichna siedziała nieporuszona, ze strachem słuchając rozmowy Dembca ze Śwityną. Dziad stojący nad nią, żylastą, ogromną lewicą chwycił ją pod szyję, prawicą podnosi w górę swą ciężką lipową lirę i z całej mocy uderza dziewczynę w ciemność. Wichna pada bez jęku, pęknięta lira z głuchym brzękiem obsuwa się z rąk ślepca. Dembiec nieruchomo stoi — straszny, blady jak słup zgrozy i przerażenia. Śwityna z rozdzierającym krzykiem podbiega i ciska się na ciało siostry)*

ŚWITYNA

O! zabił ją... bogowie!  
zabił mi ją... — Na głowie

ta rana przeraźliwa  
gorącą krwią opływa...  
Nie, nie... ty ciepła... żywa...  
o, dycha... dycha... szepce...  
ja chcę... ty musisz żyć!

*(zatrzymuje dech i patrzy, jakby czekała życia w ciele siostry)*

Zabita!... — Powiedz ślepce,  
co-ć ona była krzywa?!

*(z ostatnimi słowami podniosła się nagle i wprost na Dembca idzie blada z wściekłości, rzuca mu się do gardła i prze go ku ziemi całą siłą ramion. Dembiec bez oporu, z rękoma opuszczonymi ulega i tylko zdławionym głosem się odzywa)*

DEMBIEC

Idź... pal grodziszczę... idź...

*(Śwityna nie zważając, dławi go pod gardło w dzikiem uniesieniu zemsty. Nagle na częstokołach surmy straży niemieckiej grają przeraźliwą pobudkę, a za grodziszczem dokoła podnosi się ogromny, zmieszany, tysiącgłosy okrzyk wojenny — Śwityna puszcza starego, podnosi głowę i słucha, jakby ze snu zbudzona)*

DEMBIEC

*(porywa się i Świtynę chwycił za ramiona)*

Ten krzyk... ten krzyk na okół  
to nasi!... moc ich, moc...  
W twych ręku przeznaczenie...



czy słyszysz jak dudnią w częstokół  
z tysiąca proc  
miotane kamienie?

*(z dworca wypadają wojennicy niemieccy, wśród nich Hado. Z przyległego dziedzińca nadbiega Wolfrich z pacholami. Popłoch, zamęt, wrzawa krzyków, nawoływań, szczęku broni)*

ŚWITYNA  
*(odtrąca Dembca)*

Precz, precz odemnie dziadu!  
— Nie tykaj mnie — straszliwy...  
nie tykaj... wolę gadu  
oślizłe dotknięcie  
krew masz na brodzie siwej  
i krew masz na lirze...

*(kłęka nad Wichną i twarz nad jej twarzą chyli)*

DEMBIEC

Miecze grzmia, stękają cięciwy...  
pal — zanim w zamęcie  
Niemce trwożni ochłona!  
Zemsta ma stopy chyże...  
nie ujdzie żaden żywy,  
będą mieć noc czerwoną  
— Tobie włożyły bogi  
ich śmierć do rąk —  
leć, wytrać ich do nogi!

*(Słońce zaszło — mrok zapadać poczyna coraz gęstszy Niemce bez blach ni zbroic, tylko z bronią w rękach pędzą i tłoczą się bezładnie ku częstokołom. Wpół nich uwija się Hado bez pancerza ni hełmu, z tarczą i gołym mieczem w garści; w gwarze wykrzykując niezrozumiałe rozkazy, rozstawia wojowników i pachotów przy ostrokołach. Niemce bronią się przed natarciem szturmowników, u bramy walka najgorętsza)*

DEMBIEC

*(nóż dobyty z zanadrza wciska do rąk Świtynie)*

Naści nóż... naści nóż...  
wepchni mi w piersi ostrze,  
wstań ino potem już,  
pal stos pogrzebny — siostrze!  
naści nóż... naści nóż...  
naści, żgnij prosto w serce:  
te ręce twej siostryńce,  
te ręce dały cios,  
lecz Niemce jej morderce  
i śmierci jej przyczynce —  
z grojca zrób dla niej stos!...  
Zapal... zapal grodziszcze,  
zgojrem z nią pospołu...  
jutro z Niemców i z nas  
ino kupa popiołu  
i zgliszcze...

Nie stój, nie stój by gład,  
leć... weź żagiew do rąk!...

*(Śwityna słuchała z głową na piersi opuszczoną. Zwolna twarz jej mieni się, coraz sroższa, dziksza, błyskawicami oczu roziskrzona. Nie mówiąc słowa, rzuca się pędem ku podcieniom hyżu, z polepy żagiew płonąca porywa i strzechy podpala na dworcu, na szopie, na stajniach, przebiegając podwórze zdyszana, straszliwa, szaleńczo zniszczenia ogarnięta)*

#### DEMBIEC

*(zawieszony w oczekiwaniu stoi nad ciałem Wichny. Po-słyszawszy krzyk przerażonych Niemców, drgnął, wyprostował się i wyciągnął szyję)*

Ten wrzask... Hej, dachy płoną...  
spiekota... pożar w krąg...  
Zemsta ma stopy chyże...  
nie ujdzie żaden żywy —  
W powieki zre mnie dym...  
ogień! ogień złotogrzywy!  
ujźreć go jak strzechy liże  
na zatracenie im...

*(wyciąga pięść)*

Zczeńnicie wy do nogi, w pień  
i ścierwa czerń kruków obsiedzie...  
— Hej nim jutro wstanie dzień  
mnie — ani was nie będzie!

*(Zabudowy goreją z trzaskiem i hukiem, oblewają niebo nocne luną. Wrzaskom przerażonych obłąźniców odpowiadają z poza ostrokolów, ogromne radosne okrzyki obłąźników. Uchodzący przed pożogą Niemce zbijają się w kupę około Hadona i wypadają z grodziszcza przez podniesioną z nagłą broną, aby się przerznąć poprzez nacierające tłumy. Ale Słowianie zaraz w bronie otaczają ich, zalewają i ponoszą. Za broną odgłosy rzezi... Ku Dembcowi powraca Śwityna)*

#### DEMBIEC

*(słyszając jej kroki)*

To ty? to ty... Śwityno?

#### ŚWITYNA

Goreje stos, goreje stos,  
a Niemce giną... giną...

*(obziera się ku bronie rozwartej)*

Wstań krwawa mgło z czerwonych ros...  
przeklątą ich posoką  
nasiąkaj ziemio głodna!

*(odrzuca żagiew, którą w ręku trzymała, podnosi z ziemi ciało Wichny i rusza z niem powoli ku płonącemu dworzyszczu)*

#### DEMBIEC

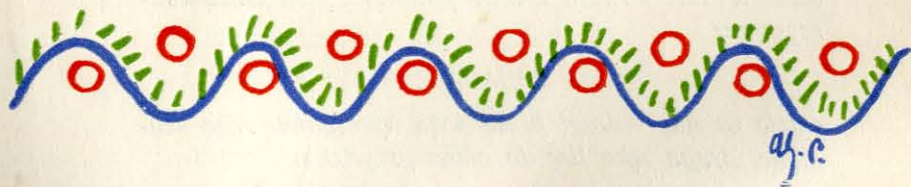
*(idzie za nią — drogi przed sobą wyciągniętą ręką szukając, drugą ręką lirę do piersi przyciska)*



Daleko i szeroko  
niech między lud poleci głos  
nad całą tą krainą,  
że wolna, że swobodna!

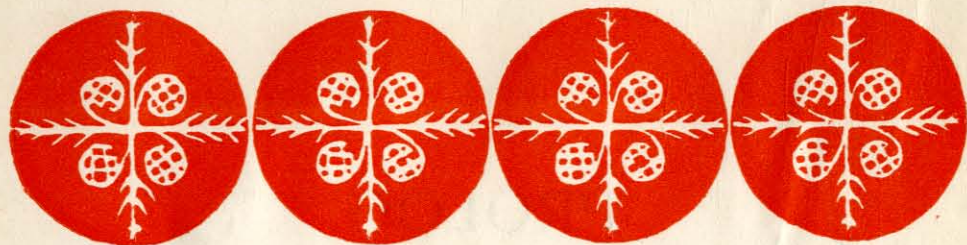
*(W bronie staje Mieszko — młodzieńczy, potężny, z dobytym mieczem w dłoni, cały krwią przelaną ociekający; za nim tłoczą się głowy słowiańskich wojowników. Świątynia z ciałem Wichny i Dembiec, w oczach zwycięzców, wchodzi w drzwi gorejącego dworzyszczu).*

Tonie 1902.



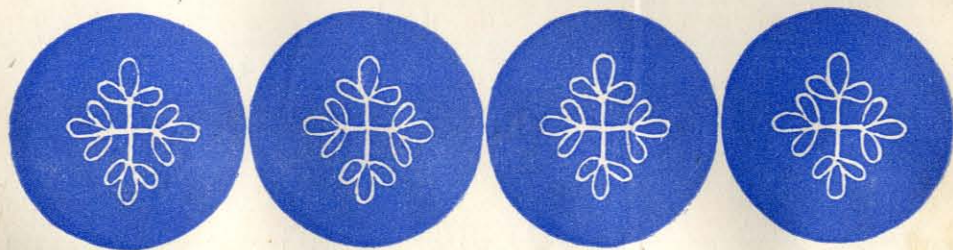
# PROLOG



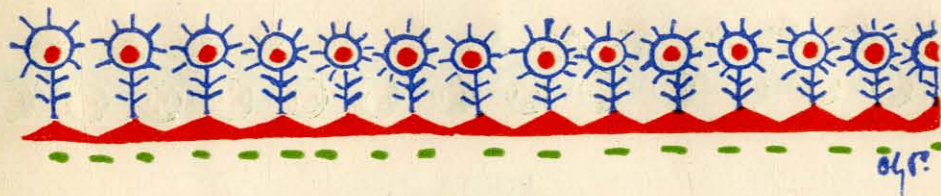


# PROLOG

NA OTWARCIE TEATRU  
W KRAKOWIE D. 27/VI 1893.



SCENY WIERSZEM



*Leśna polanka w okolicy Krakowa; w głębi perspektywiczny widok na miasto, w tej chwili oświecone zachodzącym słońcem. Na konarach drzew, w zaroślach i w głębiach lasu roje rusalek, boginek i duchów leśnych. — Na przodzie sceny, na podestanym kolorowym szalu PANNA JADWIGA, obok niej na pniu przewróconym POETA, na lewo na rozłożonym plaidzie MATKA, dopijająca szklankę herbaty, obok niej OJCIEC drzemie, oparty na łokciu. Między nimi kosze z prowiantami. talerzyki, szklanki, puste butelki. W głębi sceny samowar i dopalające się ognisko. Opodal na lewo widać ZOSIE, która zbiera kwiatki i zatyka je za kapelusz, trzymany w ręku.*

## SCENA I.

PANNA JADWIGA  
*(kończąc dłuższe przemówienie)*

...Bo przecież my na sztukę patrzymy oboje jednakowo, my o niej myślimy to samo — tylko pan...



POETA

Ja teoryj o sztuce się boję:  
nieznam się na tem.

*(Rozmawiają półgłosem).*

MATKA

Zosiu!

ZOSIA

*(podbiega)*

Jestem, jestem mammo!

MATKA

Zaparz jeszcze herbaty i ojcu do szklanki  
nalej.

*(Spostrzega kapelusz Zosi)*

Kapelusz! — Na co ci to zielsko?  
zazielenisz tym chwastem wstążkę.

ZOSIA

To rumianki

i paproć.

MATKA

*(surowo, stłumionym głosem)*

Wyrzuć zaraz!

*(Zosia wyjmuję kwiatki i idzie nalewać herbatę).*

PANNA JADWIGA

*(w dalszym ciągu rozmowy z Poetą)*

Rozprawę angielską,  
czytałam o tem.

POETA

O czym?

PANNA JADWIGA

O teatrze!

Pan nieciekawy?

POETA

*(chcąc pokryć znudzenie i roztargnienie)*

Owszem — słucham panię;  
tak machinalnie gdzieś po lesie patrzę.

PANNA JADWIGA

Po tej rozprawie mam już własne zdanie  
o celach sceny. Pojmuję doniosłą  
wartość otwarcia nowej sztuk świątyni...

MATKA

*(podchodząc)*

O cóż dyskusya idzie tak zażarcie?  
pewnie o teatr? — Jadzia to znawczyni!  
Jutro idziemy wszyscy na otwarcie  
teatru...

*(Rozmawiają dalej półgłosem).*

ZOSIA

*(ze szlanką herbaty idzie do ojca i budzi go)*

Tato, przyniosłam herbaty!

PANNA JADWIGA

To dzień tak wielki! Jestem przekonana,  
że talent pański wyda nowe kwiaty  
dla nowej sceny.

MATKA

*(z emfazą)*

Znamy dzieła pana:  
nieraz czytając lżyśmy w oczach miały.  
O, twórz pan dalej! a niech pan pamięta,  
że kraj poezji ma swe ideały,  
do których rwie się duch zakuty w pęta  
naszego ciała. Nieś nas pan w błękity,  
nieś nas na skrzydłach poezji w przestworze!  
O ten realizm! Panny przyzwoitej  
wziąć do teatru nieraz się nie może!  
Poezya działać powinna moralnie.

PANNA JADWIGA

A jednak Shakespeare!...

MATKA

Ach, nawet geniusze  
mają tę wadę. Shakespeare czasem palnie  
rzec tak okropną!

*(Zatyka sobie uszy).*

PANNA JADWIGA

*(sarkastycznie)*

Ja objaśnić muszę,  
*(co pan sam zresztą spostrzedz musiał w mamie)*  
że zatwardziałą jest idealistką —  
*(z namaszczaniem)*  
ja bo znam tylko sztukę, co nie kłamie!

MATKA

*(gwałtownie)*

Nie znasz! ja czytać dałabym ci wszystko?

PANNA JADWIGA

*(trochę zbита z tropu)*

Naturalizmu znam tylko teorię,  
lecz wyrobiłam sobie o nim zdanie:  
scena nie miejsce na fantasmagorye!  
w tem błądzi Shakespeare!

Czyż nieprawda panie?


Po co wprowadzać duchy i widziadła,  
które mającą po głowie autora?!

OJCIEC

*(który, wypiwszy herbatę, drzemał — budzi się)*

Godzina ósma! do domu już pora  
zbierać się! — chcecie, żeby noc zapadła?






MATKA  
(*półgłosem*)  
Wstyd mnie za ciebie...

OJCIEC  
(*ziewając*)  
Przedmiot to ciekawy,  
ale już późno, a droga daleka  
i rosa pada: dotknijcie się trawy —  
katary pewne! Tam fiakier czeka  
na drodze.

MATKA  
(*do Zosi wskazując jej kosze, filizanki etc.*)  
Zosiu!  
(*Zosia zabiera się do pakowania. — Poeta jej pomaga.*)

POETA  
Ja pani pomogę;  
a pani lubi teatr...?

ZOSIA  
Bywam rzadko.  
Ostatnim razem — śliczna była sztuka:  
syn jedzie, z starą nie żegna się matką,  
a ona potem po świecie go szuka —  
takie to smutne!... Gdy ci ludzie zaczną  
mówić na scenie, jak są nieszczęśliwi,



to mi tak jakoś... przykro... Mam dziwaczną  
naturę: wszystko wzrusza mnie i dziwi.  
Pan śmiać się będzie.

OJCIEC  
(*zbliża się*)  
Pocieszna dziewczyna,  
w teatrze...

ZOSIA  
(*przerywając*)  
tątko znów się śmieje ze mnie!

OJCIEC:  
Panie, o świecie bożym zapomina:  
twarz jej się pali, afisz w rękę zemnie,  
kolacyi nie chce jeść...

ZOSIA  
To tak przyjemnie!

OJCIEC  
Ładna przyjemność: czyimś tam kłopotem  
psuć sobie zdrowie. Gdy płacę za łożę,  
chcę się zabawić, zjeść porządnie potem  
i śmiać się jeszcze, gdy się już położę.  
(*Tymczasem kosze spakowano i cała kompania wychodzi  
z manatkami, ciągnąc za sobą Poetę.*)

SCENA II.

*(Boginki, rusalki i duchy leśne wypadają z ukrycia na scenę).*

TECZKA

Chi, chi, chi, chi!

JAGODA

*(śmiejąc się)*

A to śmiech,  
z tem plemieniem ślepem, głuchem!

POGŁOS

Ja odgłosy leśnych ech  
puszczałem nad samem uchem  
tej, co dowodziła długo,  
że nas teraz niema już!

ZORA

*(z żalem)*

Rozwieszałam blaski zórz,  
nad obłoków złotą smugą,  
ale tego nikt z nich nie wie.

WIATREK

Ja tej starej pod sam nos  
gnałem świeżuchne podmuchy...

PERLIK

A ja uwieszon na drzewie,  
siałem chłodne krople ros  
na trawę i na mech suchy;  
stary przez sen rosę czuł,  
jak nie porwie się ze strachem!...

ZIELINKA

Próbowałam wonnych ziół  
oczarować ich zapachem...

MGIELKA

Wartoż dla nich z srebrnej przędzy  
opalową snować nić  
i mgieł wiotkich tkać zasłonę?

JAGODA

Przyszli gadać, jeść i pić  
i uciekli stąd czempredzej!

ZORA

Takie stworzenia spaczone,  
toż mi to „wszechtworów król!”

BOGINKA

Gdy go żywy świat otoczy:  
kwietna łąka, szumny las,

błękit wód, zapachy pól —  
to wytrzeszcza tępe oczy,  
lecz nie zdolen ujrzeć nas.

POGŁOS  
*(nad słuchając)*

Cyt! Ktoś idzie. —

WSZYSCY  
*(jedni przez drugich, patrząc za scenę)*

Zakochany..!

tych tu bywa na tuziny!..  
...patrzcie, patrzcie: włos rozwiany,  
sam ze sobą wciąż coś gada..  
...twarzą stroi dziwne miny..  
idzie!

*(Znikają w gąszczach i za konarami drzew).*

### SCENA III.

*(Wchodzi Aktor uczący się roli).*

WSZYSCY  
*(z ukrycia)*

...Przejdzie... Nie! Nie... siada!..

AKTOR

Tyle godzin się mozolę,  
wszystko na nic. O rozpaczy!

ja muszę wniknąć w tę rolę.

*(Czyta pod nosem).*

Nie — tak źle... Trzeba inaczej.

*(Czyta i giestykuluje).*

To jakoś wygląda blado —

*(deklamuje)*

„Świat mnie przed tobą spotwarzy,  
a tyś uwierzyć gotowa“...

Nie! ja to mówię z przesadą,  
tu uśmiech musi być w twarzy —  
wszak w tem ironia się chowa?  
spróbujmy może z tą zmianą:

„Świat mnie przed tobą spotwarzy“...

Żle! — lepiej włożyć w te słowa  
smutek i ufność zachwianą:

„A tyś uwierzyć gotowa“...

Nie — jakoś mi się nie darzy,  
czort siedzi jakiś w tej scenie!

*(czyta pod nosem, zastanawiając się).*

„Świat mnie przed tobą spotwarzy,  
a tyś uwierzyć gotowa“...

*(zamyśla się — po chwili)*

Zmęczony jestem szalenie...

*(Siedzące ponad głową jego na gałęziach biesy leśne  
potrzęsają nad nim pękami maków i sennego ziela. Aktor  
zasypia... Zciemnia się coraz bardziej.)*

WIATREK

*(zaglądając z drzewa na śpiącego aktora)*

Śpi już?

JAGODA

zasnął?

TĘCZKA

jakby głaz.

PERLIK

Jakieżby mu spłatać figle!

ZIELINKA

Niechaj weźmie każde z nas  
po kolczastej głógów igle,  
i nuż klucz go w ręce, w twarz...

JAGODA

Myśl godna rozpustnych dzieci.

ZIELINKA

*(z przekąsem)*

O, ty pewnie lepszą masz!

PERLIK

To, czy owo, byle żart!

ZORA

Spieszmy się, bo noc uleci.

BOGINKA

Teatr mu pokażmy nasz.

INNI

*(jedni przez drugich)*

Po co? Na co? Czy on wart?!

POGŁOS

Cicho, cicho, bo się zbudzi.

BOGINKA

*(przekrzykując wrzawę)*

Aktor, pozna z kilku scen...

INNI

*(przerywając)*

Zgoda. — Nie chcę! — Rzecz skończona!...

PERLIK

A wstyd! Klótnia, jak u ludzi!

BOGINKA

Niechajże się chociaż ten  
z żalem i wstydem przekona,  
o ile nasz leśny świat  
wyżej od ich świata stoi.

ZORA

Przednia myśl.

POGŁOS  
Bez długich rad!  
koników polnych kapełę  
wołać, niechaj skrzypce stroi.

ZORA  
Szybko, bo czasu niewiele!  
(*chce wybiedz*).

BOGINKA  
Stój! ułóżmy podział ról:  
jaskier będzie grał kochanka,

TĘCZKA  
jasnowłosa, cały w złocie.

BOGINKA  
dziewanna, królewna pól —  
kochankę.

WIATREK  
a macierzanka,  
tragiczną matkę.

JAGODA  
Stokrocie  
są na naiwne dziewczęta...

PERLIK  
a rolę starej bajczarki,  
niech gra purchawka wyschnięta,

co wszystko dokoła plami;  
łopuchy z grubymi karkami  
mogą zostać filistrami:  
wszak łopuchów dość jest wszędzie.

TĘCZKA  
Jeden z pustaków motyli  
lekkim amantem niech będzie.

ZORA  
Wystarczy personal tyli!  
elektryczne oświetlenie...?

WIATREK  
tem się zajmie księżyc łysy,

ZIELINKA  
z mchu kobierce są na scenie,

BOGINKA  
z kolumnady drzew — kulisy;

MGIEŁKA  
z mgieł białych będzie kurtyna,  
rozpięta na łuku tęczy,

JAGODA  
a na znak, że się zaczyna,  
błękitny dzwonek zadzwięczy.

BOGINKA  
*(do śpiącego Aktora, pochylając się nad nim)*  
Zgłupiejesz, widząc te cuda!

PERLIK  
byle nie otworzył powiek.  
*(Za sceną słychać głos Poety).*

WSZYSTY  
*(uciekając)*  
Człowiek idzie! Człowiek! Człowiek!  
Przepadło! Nic się nie uda!

#### SCENA IV.

*(Wchodzi Poeta, podśpiewując sobie wesoło).*

POETA  
*(śpiewa)*  
Szumią sobie dęby stare przy drodze,  
kędy nocą do dziewczyny mej chodzę;  
świecą gwiazdy, świecą złote nademną,  
kiedy pukam w jej okienko w noc ciemną;  
huczą wichry i zawodzą na dworze,  
a my leżym, pierś przy piersi w komorze...  
*(urywa i mówi)*

Ten skok się udał, lepiej być nie może;  
fiaker w pędzie — łatwo było nogę

zwichnąć! Przysięgnę, że się obrazili;  
pal ich sześć!... Chciała folgę dać po drodze  
swej erudycyi — *in anima vili*.  
Hola waćpanno!

*(Zapala papierosa).*

Że też ja nie mogę  
odetchnąć wolniej ani jednej chwili!  
Tam — w gazeciarskim kręcę się kieracie,  
tutaj się człowiek wyrwał za rogatki,  
chcesz być sam? Gdzie tam! Wpadają na cię  
z krzaków i gwałtem ciągną do herbatki;  
pragniesz posłuchać, jak las huczny gwarzy,  
a tu ci wsadzą na kark pannę Jadzię,  
co ci androny swoje w uszy kładzie...

*(Potyka się na śpiącym Aktorze).*

A to kto?

AKTOR  
*(budząc się)*  
„Świat mnie przed tobą spotwarzy...”

POETA  
Kto tu?

AKTOR  
Ja jestem.

POETA  
Co za ja?

AKTOR  
*(zrywa się oburzony)*

Mój panie!

POETA  
*(poznaje go i ściska za rękę)*

To ty!

AKTOR  
Jak się masz!

POETA  
A, co za spotkanie!  
Co ty tu robisz?

AKTOR  
Uczyłem się roli  
i sen mnie jakoś zmorzył niespodzianie.  
W domu pracować trudno, bo o ścianę  
jegomość jakiś cały dzień rzepoli,  
podemną znowu ktoś na fortepianie  
tłucze... Niestety!

POETA  
*(przypatrując mu się)*  
Chłopczysko kochane!  
taki, jak wtedy, kiedy się do szkoły  
chodziło.

AKTOR  
Prawda! taki sam, jak wtedy:  
i zapalony do sceny — i goły.

POETA  
Co?! Śmieję się z tego.

AKTOR  
Łatwo śmiać się z biedy,  
kto jej nie ugryzł.

POETA  
Ja? żyć nie mam za co!  
rymami sobie w piecu palę w zimie.


AKTOR  
Drukujesz dużo...

POETA  
ale mało płacą.

AKTOR  
*(po chwili)*  
Przynajmniej sobie wyrobiłeś imię.

POETA  
Prawda: „nasz młody, utalentowany...“  
ale o tobie także recenzenci  
piszą to samo. — Pewno całe ściany  
masz zawieszane wieńcami.

AKTOR  
Potrosze;  
lecz bierz je kaduk! Niech się sztuka święci,  
choćby bez wieńców i choćby bez sławy!



Mieć dobrą rolę, co to za rozkosze —  
ty nie wiesz; to mi okrasza mój krwawy  
kawalek chleba; bo wtedy nie jestem  
sam sobą. Dniami całymi tak chodzę  
po świecie, jakby po ogromnej scenie:  
twarzą i głosem i chodem i giestem  
gram rolę moją.

POETA

„Wena“, czy „natchnienie“,  
jak się tam zowie... Wiem i ja coś o tem:  
ni zład, ni zowład mózg się czemś zapłodni,  
fantazya bryzga tęczami i złotem;  
biega się wtedy przez parę tygodni,  
jak pijanica lub jak opętaniec,  
a zewsząd jakieś tłoczą się postacie —  
pióro do ręki lgnie i po papierze  
samo się puszcza w rozszalały taniec.

AKTOR

Na nowej scenie może w twym dramacie  
jakim grać będę.

POETA

Pokusa mnie bierze,  
by coś na deski dać.

AKTOR

Sztuka niegrana  
jest jak ubranie, nim się je przymierzy:  
sam krawiec nie wie, co warte. Z waćpana  
tchórz, widzę.

POETA

Gdzie tam! Choćby sztuka padła,  
cóż z tego? Padnie, to niech sobie leży.

AKTOR

Krytyka na to jest, żeby nam sadła  
zalać za skórę. Niechaj prawdę powie,  
to nic! Bo plaster taki, chociaż piecze,  
lecz talentowi wychodzi na zdrowie —  
Na własnej skórze...

POETA

(przerywając)

Słuchajże człowiecze:  
ja się teatru i aktorów boję!


AKTOR

Od czegoż próby?

POETA

Mam rzucić na deski  
to, com sam stworzył? całe światy moje?  
Jam w mej fantazyi firmament niebieski,





łąki pachnące i zielone gaje,  
ub mieszkań ludzkich rodzinne podwoje  
miał tłem, dla żywych, czujących postaci—  
a teatr... klatkę płócienną mi daje:  
w niej wszystko więdnie, blask i zapach traci.  
A gra! gdy ludzi, żywych ludzi tworzę,  
to mam przed sobą ich ruchy, ich twarze,  
słyszę w ich głosie każdą zmianę tonu,  
czuję ich oddech. — Cóż z tego zostanie?  
W grze — to się wszystko zatrze i zamaże,  
wszystko się jakoś nagnie do szablonu,  
wszystko...

AKTOR

*(przerywając, chwyta go za rękę)*

Przeciwnie, — cień, mara, widziadło,  
na scenie w kształt się, w krew i kości wcieli.

POETA

Dla innych — pewnie! Lecz dla twórcy dzieła  
to, w czym tkwił urok prawdy — to przepadło!

AKTOR

Ale kto tworzy, niech z wszystkimi dzieli  
twory swej duszy. Panowie poeci  
wam pisać tylko dla siebie — nie wolno!  
słońce poezji niech dla wszystkich świeci.

Chcesz macierzanką być — lub różą polną,  
co sama sobie w ustroniu zakwita  
i pachnie?

POETA

*(zamyślony)*

Prawda!

*(po chwili)*

Przyznasz mi nawzajem,  
że własna wasza dusza, choć ukryta,  
wyziera ciągle z tego, co my dajem  
i że twarz wasza, wasz głos, wasze ruchy  
w banalność typu...

AKTOR

Zgoda! lecz gdy wiecie,  
że ten świat z płótna i z tektury kruchej  
od prawdziwego taki jest odmienny,  
czemuż tak często, w tym kinkietów świecie,  
zapominacie o tem, że blask dzienny,  
blask nagiej prawdy — rozprasza złudzenie?  
Inne są życia, inne sztuki prawa  
i prawda nieraz fałszem jest na scenie  
a fałsz...

POETA

Fantazyja stukształtna, jaskrawa  
niech bryłę życia nagą i surową  
stopi, przekuje...

AKTOR  
(kończąc)

I wskrzesi na nowo.

*(Z głębi sceny wchodzi Kraków z siwą po pas brodą, koroną z murów na głowie, z herbem miasta wyszytym na piersiach — ubrany w długą opończę i podarty płaszcz królewski. Skórzana sakwa przez ramię. Staje na tle widoku Miasta, oświetlonego już teraz księżycem).*

POETA  
(nie widząc go)

Droga do sztuki...

AKTOR  
(sposzrzega Kraków)

A to kto u dyaska?!  
*(Kraków zbliża się z wolna)*

SCENA V.

POETA, AKTOR, KRAKÓW.

KRAKÓW  
Bóg z wami — zagni panowie!

POETA  
*(przyglądając mu się)*

Witamy.

AKTOR  
Nos, brwi, broda, pyszna maska!

KRAKÓW

Czyli mnie ucho nie myli:  
„droga do sztuki“... a kędyż ta sztuka?  
Waszmościowie o niej mówili  
przed chwilą — *tandem* skwapliwie przychodzę  
i zapytanie wam czynię:  
zali na dobrej k'temu jestem drodze,  
bym tę odnalazł boginię?

POETA

Z kimże mam zaszczyt?

KRAKÓW

Mnie, mnie nie poznali!  
jam Kraków, królewski Kraków —  
ten, ku któremu zbliża i z oddali  
drżą serca wszystkich Polaków!  
Nad głową moją, nad tą głową białą  
stuleci przeszedł dziesiątek —  
z dawnych splendorów nic mi nie ostało,  
okrom pamiątek  
i purpurowych strzepów na łachmanie —  
Hej czas! gdzieś z Wisłą czas płynie:  
ja, który Królom dawałem mieszkanie  
ich grobom stróżuję ninie.  
Ongi bywało, gdy na wjazd królowi  
we wszystkie dzwony zabrząknę,

świat się od pereł ćmił, a złotych głowi:  
piękne bo było to — piękne!  
Długoby o tem gadać majestacie  
dziś po nim jeno mam tyle,  
iż zmaz nie noszę na żebraczej szacie,  
ani pod sromem się chylę...  
Cóżto rzec miałem... a! do rzeczy wróć:  
otóż, acz dziura w kalecie,  
gmach sfundowałem Narodowej Sztuce,  
a teraz szukam jej w świecie.  
Języka dostać od Waszmościów tuszę,  
ile żem słyszał...

POETA

Kto szuka  
sztuki, niech patrzy poprzez własną duszę,  
na świat szeroki...

AKTOR

Tego, czem jest sztuka,  
nie wiem, lecz wierzę, że sztuka jest wszędzie,  
a na serdeczne zakłęcie  
sama się zjawi, z pod ziemi dobędzie.

POETA

Na każdym drogi zakręcie,  
w domu i w polu, na ulicach miasta,  
czy w samotności, czy w tłumie —

wszędzie tam sztuki rajski kwiat wyrasta,  
gdzie dusza, która czuć umie,  
wszędzie, gdziekolwiek...

KRAKÓW

(*zdumiony niedowierzająco*)

Tandem tutaj — w lesie...?  
tam pod Maryackim kościołem?  
W polach i gajach? — Bo to jakoś mnie się  
nie widzi. — Chyba pospołem,  
Wasze się na mnie zmówili!?  
Wstyd! — a gdzież respekt?!

(*chce odejść*).

POETA

Ależ...

AKTOR

Jako żywo...!

KRAKÓW

Już dość mi tej krotofili!  
Wszędy? — tu może?

(*Pokazuje palcem na ziemię pod nogami*).

POETA i AKTOR

I tu!

KRAKÓW

(*obruszony*)

Głowę siwą  
na śmiech podają?  
(*odchodzi gniewny*).

POETA

Cośmy zawinili?

SCENA VI.

*(W miejscu, gdzie stał Kraków, ukazuje się Sztuka w białej fałdzistej szacie, z gwiazdą i wieńcem cyprysowym na czole).*

SZTUKA

Jestem wszędzie,  
gdzie dusza, która czuć umie:  
w potoków szumie,  
co biją o skał krawędzie,  
na firmamentu tle,  
w łunie wieczornych zórz,  
w poranka srebrnej mgłę,  
w zapachu polnych róż,  
w błyskawic krwawym pędzie,  
i w drgnieniach ludzkich dusz —  
jestem wszędzie!

Tym, którzy zdolni czuć  
czar woni, dźwięków, barw,  
z natchnionej myśli snuć  
struny zaklętych arf,  
i nosić w głębi dusz  
fantazyi cały świat, —

tym daję moją moc,  
tym wołam: „Wstań a twórz!“

POETA

Tyś Sztuka!

AKTOR

Biały rąbek twoich szat  
rozjaśnia oczom naszym czarną noc,  
o mów—rozjaśnij nam fantazyi cały świat!

POETA

O mów, czem jesteś ty i czem jest twoja moc?

SZTUKA

Jam tylko ust ludzkich tchnieniem,  
dźwiękiem, zjawieniem tęczowem,  
jam tylko pojęciem — imieniem,  
jam lotnem słowem!

POETA

Lecz myśmy to święte słowo,  
słowo „Sztuka“ — ukochali,  
i jak za gwiazdą różową,  
co nam świta gdzieś w oddali,  
idziem blaskiem jej promieni  
— jak średniowieczni gwiazdarze —  
opętani i olśnieni.

SZTUKA

Za to dziś wam drogę wskażę —  
to co jest moją istotą  
w dziełach moich zobaczycie;  
patrzcie oto!

AKTOR

Podniosła ramię do góry,  
krąg miesięczny na błękicie  
zakryły zielone chmury...

POETA

wyrzął znów i mroki giną.

SZTUKA

Patrzcie tam, w tę głębię siną!

*(W głębi, gdzie widać było perspektywę Krakowa  
w oświetleniu księżycowym, ukazuje się Prometeusz przy-  
kuty do skał — nad nim w kłębach chmur błyskawice.  
Sęp wyżera mu wnętrzności).*

SZTUKA

Szorstkie, nagie, czarne skały,  
a na granitowej ścianie  
ludzki kształt, jak marmur — biały;  
tam, pod nim urwisk otchłanie,  
ponad nim głuche błękity;  
tak leży w straszliwej męce

twardem żelestwem przybity  
do skał za nogi, za ręce —  
lecz z ust nie wyjdzie mu skarga!  
— A sęp łysy rwie mu trzewie,  
krzywy dziób w krwi jego szarga:  
on w męczeństwa dumnym gniewie  
milczy i w niebios okręgi  
wbił szyderstw pełne źrenice,  
gdzie elektrycznymi wstęgi  
drgają Zeusa błyskawice...

POETA

Z nim cała ludzkość — harde syny ziemi  
leżym na twardej skale Przeznaczenia,  
Rzeczywistości kleszczami zimnemi  
skuci.

AKTOR

Z pokoleń jednak w pokolenia  
idą tytana porywy olbrzymie,  
bo jego ducha my się nie zaparli:  
w niebo się będziem wciąż po ogień darli —  
ogień, któremu Prawda jest na imię!

SZTUKA

To pierwsze — wielkie Sztuki zagadnienie.

POETA

Znów mleczną lampę miesiąca  
zgaśliły chmur czarnych cienie

AKTOR

i widzenie się zamąca.

*(Prometeusz znika zaćmiony cieniami chmur, które przepływają przez księżyc. Chmury odsłaniają się, w głębi widać puste wydmy piaszczyte, a wśród nich Faust i Mefisto).*

SZTUKA

Niebiosa całe z ołowiu,  
w chmurach słońce z twarzą błędną,  
na suchych wydmach w pustkowiu  
rude trawy schną i więdną;  
wiatr kłęby kurzawy goni —  
A tam, patrzcie — dwie postacie:  
poznajecie wy, kto oni?  
— Wy ich znacie — wy ich znacie!

POETA

Faust...

SZTUKA

W ślepym bólu się miota  
i godzinę tę przeklina,  
gdy wyszedł z matki żywota,  
a przy nim twarz drwiąca, sina,  
w której oczach — żary piekła.  
Szczęście! ku tej złudnej marze  
piers jego tęsknotą spiekła

drgała w swych pragnień nadmiarze;  
lecz cień wciąż chwycił w objęcia,  
bo nad ksiąg spłowiła kartą,  
na białym łonie dziewczęcia,  
wszędzie gorycz niezatarta,  
wszędzie znalazł jad zwątpienia,  
i przesyków ckliwe męty...

AKTOR

Szczęście! ta mara całe pokolenia  
wiodła i wiedzie w łez i krwi odmęty!

POETA

Wszyscy cierpiący, wszyscy pokonani,  
ci, których dola ręką swą macoszą  
na dno zepchnęła czarnej nędz otchłani,  
dziś uznojone czoła swe podnoszą:  
i oni — zanim Śmierć ich zimna zmiecie,  
ze Szczęściem poznać chcą się i Rozkoszą,  
oni, co żyją w podślonecznym świetle  
na to, by czoł swych potem zraszać niwy,  
albo, od dziecka przy maszyn łomocie  
mdlejące mięśnie prężyć, jak cięciwy.  
lecz przy ich boku, jak przy Fausta boku,  
stoi kusiciel, Książę Nienawiści,  
z błyskawicami piekielnymi w oku  
i marą szczęścia, którego nie ziści —  
budzi w ich sercach żądz i klątw pomruki.

SZTUKA

To dzisiaj Życia treścią jest i Sztuki!

*(Podnosi ramię do góry, obłoki zaciemniają niebo, Faust i Mefistofeles znikają. — Po chwili rozjaśnia się, w głębi widać Hamleta z czaszką w ręku).*

AKTOR

Hamlet! w zgorzkniałej, zapadniętej twarzy  
wahań i zwątpień wyryte stygmaty  
i wzrok, co ducha gorączką się żarzy...

POETA

bo razem z kirem tej żalobnej szaty  
padło na jego bezsilne ramiona  
Herkulesowe ołowiane brzemie,  
gdy mara ojca własną krwią zbroczona,  
z czeluści czyśca wyszła doń na ziemię.  
O biedny, biedny, komu brakło siły,  
by splugawiony ojców tron oczyścić,  
komu się wielkie czyny tylko śniły,  
ale nie stało ducha, by je ziścić!

SZTUKA

Wam, wielkich ojców synowie,  
żadnej się widmo nie zjawia?  
widmo w koronie na głowie,  
ofiara zdrad i bezprawia?  
Głos żaden smutny a święty

na was nie woła z pod ziemi,  
narodu krwią przesiąkniętej?  
Czyż nad głowami waszemi  
nie wisi straszne pytanie:  
być albo nie być? — Milczycie?  
Milczcie! Niech odpowie na nie —  
wasze życie!

*(Poeta i Aktor stoją w milczeniu: Poeta zakrytą ma twarz rękoma, Aktor oczy w ziemię wbite — Sztuka podnosi ramię, chwila ciemności; Hamlet rozplywa się we mgle, poprzez którą przezierną sylwetą Miasta, oświetlona blaskiem księżyca. Sztuka znika).*

SCENA VII.

POETA, AKTOR.

AKTOR

Zniknęła gdzieś...

POETA

rozwiąła się jak sen.

AKTOR

i mnie to wszystko, jakby snem się zdaje.

POETA

a mnie mozaiką fantastycznych scen,  
nad którą moja myśl w zadumie staje. —

AKTOR

Dla Sztuki tylko zawszem pragnął żyć,  
lecz teraz wiem, że Sztukę z Życiem splata  
nierozzerwana nigdy niczem nić.

POETA

Dla Sztuki żyć, to znaczy żyć dla świata!

AKTOR

to z rajskich kwiatów zbierać krople ros,  
dla ludzkich dusz, co w ziemskiej schną posuszy;  
to znaczy mieć anielskiej surmy głos,  
którego nawet gromów ryk nie zgłuszy!

*(Długa pauza. — Świta).*

POETA

Za garby wzgórz miesięczny zaszedł krąg,  
przez drzewa, tam na wschodzie brzask się bieli,  
opary ranne z mokrych wstają łąk —

AKTOR

i słońce wnet swym złotym grotem strzeli  
do chmur i krwią je purpurową zboczy,  
i śpiącej ziemi w senne zajrzy oczy.

*(W głębi widać perspektywę Miasta w oświetleniu wschodzącego słońca: mury, dachy, kopyty i wieże płoną coraz jaśniej różanym blaskiem).*

POETA

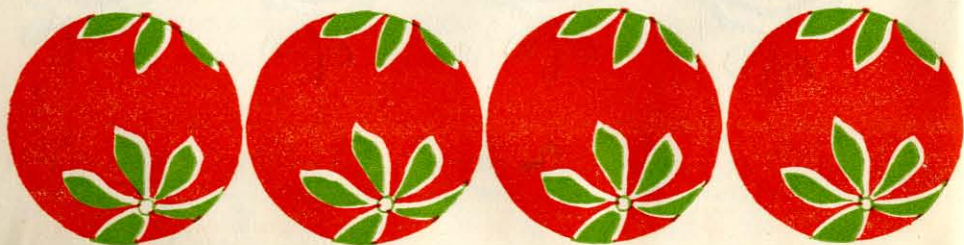
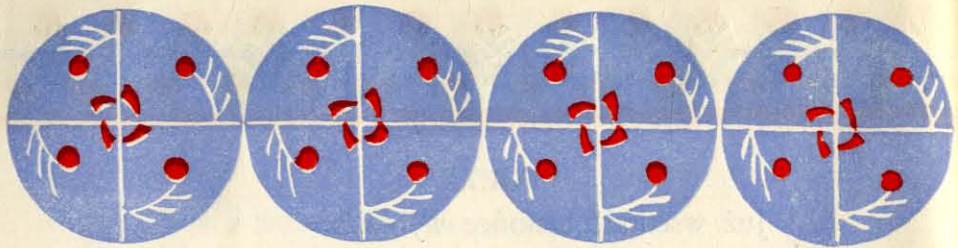
Już wschód! I słońce wybłyska  
z za zrębów chmury ognistej —  
topnieje gdzieś mgła opalowa  
i falą świeżych tchnień  
rozgania ją ranny prąd wiatru...

AKTOR

Już wschód! Nad murami Krakowa  
promienny wstaje dzień  
otwarcia nowego teatru...

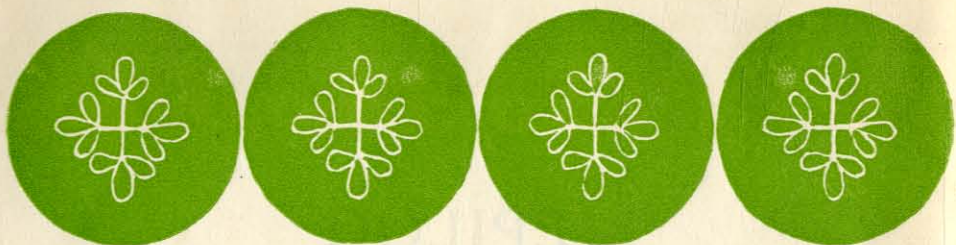
Kraków 1893.





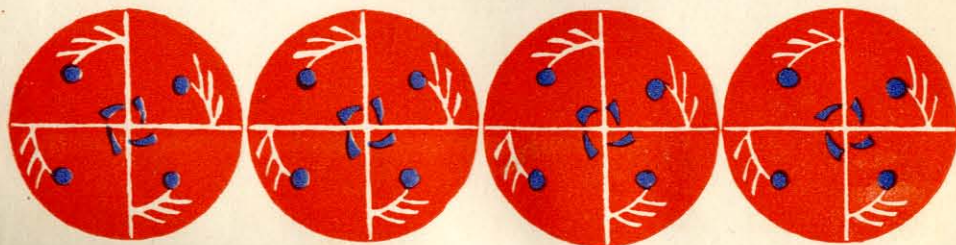
EPILOG





# EPILOG

UROCZYSTEGO PRZEDSTAWIENIA  
W TEATRZE KRAKOWSKIM W DNIU  
27 CZERWCA 1898 ROKU NA CZEŚĆ




ADAMA MICKIEWICZA.



Z podniesieniem kurtyny widac na pierwszym planie wielką ścianę z ciosowych głazów, która wypełnia cały otwór sceny — górą poważny architektoniczny fryz — niżej, po bokach dwa duże brązowe wieńce. Kamienny łuk, bogato rzeźbiony w laurowe liście zatacza się od dołu półkołem, na którego szczycie marmurowy medalion Mickiewicza z maski pośmiertnej według Perault'a. Wewnątrz łuku wgłębia się scena i przedstawia kryptę Mickiewiczowską na Wawelu. Na środku sarkofag wysunięty ku widzowi — w głębi podziemia schody prowadzące do katedry, nad schodami w sklepieniu krypty drzwi otwarte. Widać przez nie częściowo gotyckie stropy i arkady kościoła, skąd pada przyćmione światło dzienne, zresztą pół-mrok zalega podziemie.

Na przodzie sceny, w głowach sarkofagu siedzi na kamiennym stopniu ANIOŁ GROBU w długiej białej szacie z ogromnemi białemi skrzydłami. Przy nim na posadzce pali się grecka lampa. W głębi, po za sarkofagiem, na tle tylnej ściany i schodów, kilkanaście osób wszelkiego stanu i wieku: mężczyźni w surdutach, kapotach i sukmanach, parę kobiet w ubraniu miejskim i wiejskim z okolic Krakowa, dwie Ślązaczki, uczniowie gimnazjalni w mundurkach — dzieci. Przy sarkofagu





kościelny świątnik w granatowej sutannie z pelerynką — trzymający grubą woskową świecę i pęk kluczy. Stojąc lub klęcząc, wszyscy patrzą w skupieniu na sarkofag, na którym leżą wiązki świeżych kwiatów i duży wieniec złoty. Dwie wychodzące panie mijają się na schodach z nowoprzybywającymi.

Z katedry dolatują stłumione dźwięki organów, które milkną niebawem. Od czasu do czasu przerywają milczenie półgłośnie szepty. Mówiący nachylają się ku sobie, ale nie odwracają prawie oczu od sarkofagu.

.....

NAUCZYCIEL

*(do gimnazjalistów i Ślżaczek, które widocznie z nim przyszły)*

Ten pogrzeb!... Wiecie!? — Głów pływająca rzeka...  
nad nią ta trumna... kwiaty i modlitwy  
i lzy i cisza...

*(urywa wzruszony)*

JEGOMOŚĆ *(w surducie)*

*(do starego Litwina, który przysłuchiwał się słowom Nauczyciela)*

Pan pewnie z daleka?

STARY LITWIN

*(śpiewnym akcentem)*

Jakoż nie zblizka...

JEGOMOŚĆ

Pan dobrodziej z Litwy?

STARY LITWIN

Z Wilna zjechałem.

JEGOMOŚĆ

Jakież tam nowiny?

STARY LITWIN

Ta zle...

JEGOMOŚĆ

Cóż słyhać?

STARY LITWIN

Placz... u Ostrej Bramy!

JEGOMOŚĆ

Wiecznie to samo!

STARY LITWIN

Boże-ż mój jedyny,  
sto lat przetrwawszy — ta jeszcze przetrwamy —

JEGOMOŚĆ

Móglby się od was uczyć naród cały.

NAUCZYCIEL

*(przysuwając się)*

My się na Śląsku bronim — jak Litwiny!

JEGOMOŚĆ

To pan ze Śląska?

NAUCZYCIEL

Nauczyciel z Biały!

*(Świątnik dzwoni kluczami — wszyscy wychodzą).*

ANIOŁ GROBU


*(powstaje — roztacza pióra i lampę stawia na sarkofagu).*

Bronzową płytą zamknęli grób,  
gdzie leżą popioły Pieśniarza,  
katedra głuche łoskoty stóp  
echami w sklepieniach powtarza,

odchodzą już...

I katedralnych bram  
spizowe podwoje  
z hukiem się zawarły,  
lecz ja na straży trwam,  
śmiertelnych prochów nieśmiertelny stróż —  
i w ciszę grobu zasłuchany stoję...  
W jasny krąg się rozpostarły  
białe skrzydła moje  
nad Mistrzem serc i Wodzem dusz,  
co włada żywymi — umarły!

Wstąpiłem niegdyś w szlachecki dwór,  
pod wiejską strzechę niską  
i roztoczyłem anielskich piór  
opiekę nad kołyską.  
Płomienny powiew nadgwiezdnych sfer  
w dziecięcia duszę tchnąłem  
i krąg uwity z tęczowych skier  
zajaśniał Mu nad czołem.



I odtąd za Nim stapałem w ślad,  
stróż myśli — niewidomy;  
wiodłem Go w natchnień cudowny świat  
przez ból i mrok i gromy.

W celi więziennej i na obcej ziemi  
jam Tobie ciągle — Wygnańcze, Pielgrzymie —  
szeptał najśodsze Twej Ojczyzny imię  
i wiecznie-m latał skrzydłami cichemi  
na świętą Litwę, w rodzinne Twe strony,  
by do pieśni Twej natchnionej —  
gdzieś z litewskich puszczy i borów  
znosić szumy, szepty, tony...  
i z nad fali kłosów złotej,  
z nad łąk, stawów i ugorów,  
na piór moich śnieżnym puchu,  
jam ptaszęce niósł szczebioty  
i gwar żabich rozhovorów.  
I rozbrzmiała w Twoim duchu —  
z woni, dźwięków i kolorów,  
pieśń miłości i tęsknoty...

A kościom Twoim w tułaczkiej mogile  
spoczynek dałem, cień skrzydeł anielskich,  
i tu Cię strzegę w podziemiach Wawelskich,  
aż kiedyś wieko trumny Twej odchyle.


(po chwili)

Na obczyźnie skonałeś, samotnym tułaczem,  
wróciłeś w tłumie ludu na kwiatach wieziony —  
Tryumfator — milczeniem witany i płaczem —  
Zwycięzca — bez oręża... Mocarz — bez korony!  
Gdy Cię na sen ostatni kładli między Króle,  
biły Ci wszystkie serca, grzmiały wszystkie dzwony,  
a jam leciał nad Tobą w Twej słonecznej chwale...  
I odtąd Twe popioły jako matka tułę  
i niegasnącą lampę na Twym grobie pałę!...

*Płyta bronzowa nad wejściem uchyla się — po schodach  
zstępuje DUSZA NARODU, postać niewieścia przy-  
odziana w powłóczyste, białe szaty. Zarzucona na głowę  
czarna zasłona zaciemnia jej oczy i czoło, spływa z ra-  
mion w szerokich fałdach i ciągnie się za nią po sto-  
pniach. W rękę jej dopala się gasnący kaganiec. Scho-  
dząc powoli, ogląda się poza siebie w górę i mówi ku  
mrocznemu wnętrzu kościoła.*

DUSZA NARODU

Nie!... nie chcę patrzeć na te sarkofagi,  
na te kamienne królewskie postacie,  
pełne spokojnej i cichej powagi...  
Z jakążbym twarzą — w tej żalobnej szacie —  
mogła w oblicze spojrzeć tych mocarzy?  
i co im powiem, gdy przed nimi stanę?  
Im dawna wielkość we śnie wciąż się marzy,



wciąż berło dzierżą... z marmuru kowane...  
Z marmuru tylko...! Niech śpią, niech śpią twardo!  
krzykiem boleści ja ich nie obudzę —  
oniby może spojrzeli z pogardą  
w lez pełne oczy — mnie, niewolnej słudze,  
a potem... potem — gdybym wszystko rzekła,  
drgnęłyby zgrozą kamienne ich twarze  
i łza-by krwawa z oczu im pociekła...  
Nie! niech śpią twardo — pogodni mocarze!

*(schodząc do sarkofagu)*

Z duszą do dna rozdartą, w żalobnem okryciu  
do Niego idę, Jemu się poskarzę,  
urodzony w niewoli, okuty w powiciu,  
On pił już w mojej piołunowej czarze.

Ani Go we śnie jękiem nie przerażę,  
ani się przed Nim wstydem nie zrumienię —  
On wie, co zwyciężonych ból i poniżenie  
i wie, jak prochom ciężą wygnaćcze cmentarze.

ANIOŁ GROBU

Nie budź Go skargą! Cierpiał o ciebie tak wiele,  
tobie żył, tobie śpiewał, o Duszo Narodu!  
i miłość twą położył przed wszystkim na czele,  
przez nią ziemskiej miłości wyrzekł się za młodu,  
a na starość ze łzami jadł swój chleb w popiele;  
niech Go żal twój nie budzi sierocy.

DUSZA NARODU

A wiesz ty — Grobowy Aniele,  
w jak czarnej ja błąkam się nocy?!

W mem ręku światło mdleje  
i drży i dogorywa  
i gaśnie.

Naród mój traci nadzieję,  
miota się w mrokach i zrywa  
i nie wie gdzie droga prawdziwa,  
czemże mu noc rozjaśnię?

ANIOŁ GROBU

Ufajcie! — Wstanie zorza!

DUSZA NARODU

Nim nowy błysk rozdnieje,  
zblądзимy na bezdroża.

Choć lez moich, krwi mojej do lampy doleję,  
nie ocknie się płomień gasnące...  
gdy zgaśnie — kaganiec mój strącę  
i w proch się o głązy rozbryżnie. —

ANIOŁ GROBU

*(z groźnie wyciągniętą ręką)*

Przeklęty, kto wąpiąc przyszłości swej kłamie,  
przeklęty, kto ręce w rozpaczy załamie,  
przeklęty, kto cofnie od służby swe ramię

Ojczyźnie!



DUSZA NARODU

*(strwożona, obejmując ramionami sarkofag)*

Błogosławiony, kto w ciemnościach wierzy,  
błogosławiony, kto rozpacz uśmierzy,  
błogosławiony, kto służy najszczerzej  
Ojczyźnie!

ANIOŁ GROBU

*(biorąc lampę z sarkofagu)*

Duch Jego jasny w tej lampie goreje  
i wiecznym blaskiem świeci,  
weź ją — i w sercach rozpalaj nadzieję  
i lud swój wiodąc przez twarde koleje,  
rozprasza mrok stuleci!

*(DUSZA NARODU odebrawszy lampę z rąk ANIOŁA, zrywa z siebie żałobną zastonę, szerokim ruchem odrzuca ją na zrab grobowca i występuje na przód sceny — lampę dzierżąc wysoko ponad głową. — Cała scena rozjaśnia się nagle. Krypta przystania się białymi liliami, na tle ich łodyg zielonych staje olbrzymia, złota lira, która wynikła z pod ziemi, w miejscu, gdzie stał sarkofag).*

DUSZA NARODU

*(kładąc rękę na strunach, a w drugiej trzymając wysoko lampę).*


Światło! światło z grobu niosę  
mojemu ludowi —  
z ócz niech otrze słońcą rosę,

w sercach niechaj się odnowi  
i wyteży ducha moce...  
światło! światło niosę!

Wszystkim świeci to zarzewie:  
kto w zwątpieniu się szamoce,  
kto dróg w jasną przyszłość nie wie,  
kto zabłąkał się w pomroce,  
za mną! — oto światło niosę!

Polskę — w cztery świata strony  
tem światłem ozłocę  
i powiodę na zagony,  
na szumiące, złotokłose  
żeńców mych gromady;  
w znoju będziem zbierać plony,  
by napęłnić puste gumno...

I pójdziemy w ciche sady  
z drzew rodzajnych rwać owoce...  
— Przyjdzie czas, gdy głowę dumną  
wzniesie plemię to sieroce  
i zasiędzie do biesiady:  
włodarze i żenice bose,  
wszyscy razem rzeszą tłumną —  
Światło! Światło! Światło niosę!

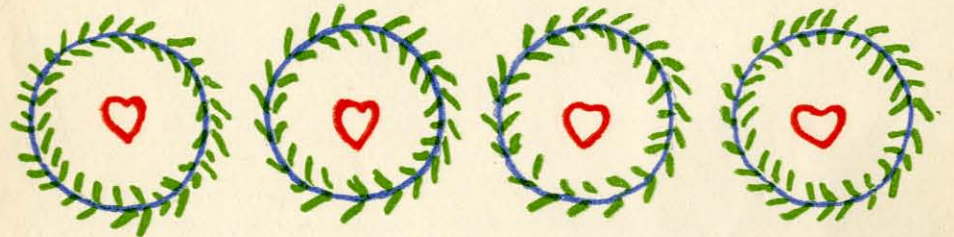


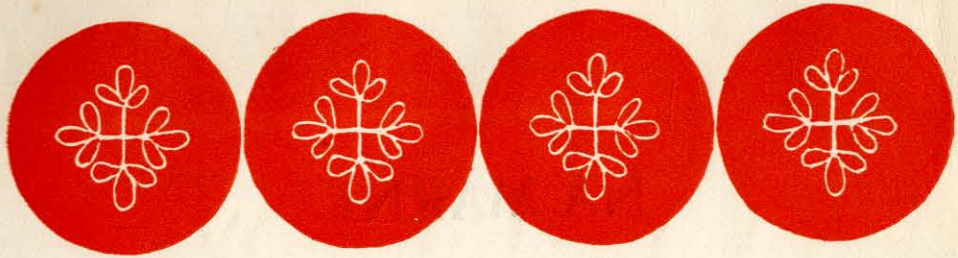
*Z lampą wysoko w rękę podniesioną, zwraca się na lewo i zwolna postępuje wzdłuż proscenium. Równocześnie z prawej strony ukazują się gałęzie olbrzymich purpurowych róż, sięgające przez całą wysokość sceny, aż ponad górny fryz i suną się — po kamiennej ścianie — ku środkowi, jakby szły w ślad za postacią DUSZY NARODU. W chwili, gdy odejść ma na lewo, występują naprzeciw niej ogromne krzewy róż białych i bladożółtych. Z góry spadają ogniste kwiaty nasturcyi — z pod ziemi podnoszą się pędy liliowych i białawych irysów. Cała scena od góry do dołu wypełnia się kwiatami, w pośrodku widnieje tylko wielki medalion Mickiewicza. Po za siecią powikłanych gałęzi i liści, — gdzie w tle przeziera szara ściana ciosowa — poczynają z góry padać bławatki i sypią się coraz gęściej. Gdy opadł deszcz bławatków, zniknęła równocześnie ściana i medalion, a natomiast w głębi, po za plątaniem gałęzi i kwiatów, widać seledynowy błękit nieba, usiany srebrnymi gwiazdami. Żłocista lutnia, która dotąd stała na przodzie sceny, wydaje z siebie dźwięk i wnosi się w górę, coraz wyżej i wyżej, a struny jej rozbrzmiewają coraz głośniej. Stała na tle gwiazdzistego nieba wśród kwiatów tam, gdzie była głowa Mickiewicza i w tej chwili melodia liry potężnieje, wiąże się w akordy harfowe, które podejmuje pełna orkiestra w kilku tryumfalnych taktach...*

KURTYNA.

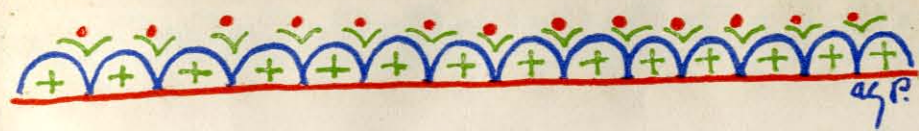
Kraków, 22 czerwca 1898.

NA MARNE





# NA MARNE



45 P.



OSOBY:

MAJOR b. wojsk polskich.

ADAM, jego wnuk.

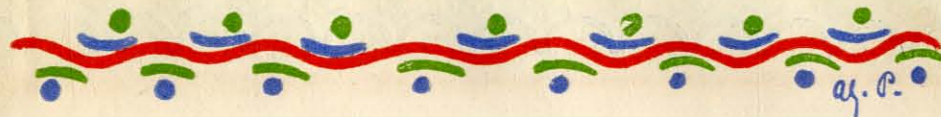
MATKA Adama, córka majora.

JANIA, kuzynka Adama.

PANNA ROZALIA, rezydentka.

JAN, służący.

Rzecz dzieje się w naszych czasach, na wsi  
we dworze u Matki Adama.



SCENA I.

MAJOR. PANNA ROZALIA.

*(Major w płaszczu z drogi — staje w drzwiach ogrodowych. Panna Rozalia, spostrzegłszy go, kłania się trochę niespokojna).*

MAJOR.

Gdzie moja córka?

PANNA ROZALIA.

pod wiązem w altanie

z paniczem.

*(chce się wysunąć).*

MAJOR

*(chwyta ją za ramię, ostro).*

Stój — mów mi zaraz, co się tutaj działo?  
mów mi waćpanna...

PANNA ROZALIA

*(bardzo zakłopotana).*

Może pannę Janię  
poprosić?



MAJOR.

Zostań! Ja chcę prawdę całą  
znać, nim tam pójdę. Pytam się waćpanny,  
co się tu działo?

PANNA ROZALIA.

O panie majorze,  
sądny dzień...

MAJOR.

Słuchaj, czy ciężko jest ranny?

PANNA ROZALIA.

ciężko.

MAJOR.

a teraz..?

PANNA ROZALIA.

Miłosierdzie Boże  
nad nami: lepiej mu jest...

MAJOR

(*odetchnąwszy*).

Bogu dzięki!

PANNA ROZALIA.

i Matce Boskiej... ja do Niej nowennę  
odprawiam.

MAJOR.

Siada już zatem w ogrodzie?—  
to dobrze. Tylko, że powietrze zmienne.

PANNA ROZALIA.

Doktor pozwolił

MAJOR.

A jakże, tak — w chodzie  
tacza się?

PANNA ROZALIA.

Wodźić trzeba go pod rękę,  
z łóżka do okna dowlec się nie może;  
ja się potroszę koło niego kręcę,  
to wiem: krok zrobi, już powietrze łapie  
ustami.

MAJOR

(*zgnębiony*).

Tak to?!


PANNA ROZALIA.

Tak, panie majorze!  
a do ogrodu nieść go na kanapie  
muszą na słońce

MAJOR

(*Po chwili, wzburzony*).

I z tego przedemną  
sekret robili. Do kroćset! To przecie



moja krew! Taić... taić! Nadaremno:  
to na językach biega już po świecie,  
ja wiem od obcych...

PANNA ROZALIA.

Z racyi o zdrowie  
i wiek podeszły miało się w sekrecie  
trzymać przed panem...

MAJOR

Niech acanna powie  
po prostu, żeście głowy potracili.

PANNA ROZALIA.

Pani bo była, jakby jej kto młotem  
dał w ciemię. Była? Jest i do tej chwili,  
a panna Jania! To dziecko ze złotem,  
ze złotem sercem. Nie — ja nie zapomnę  
co się tu działo... do grobowej deski!  
wszystkie minuty w oczach mam przytomne.

MAJOR.

Jakżeż to było?

PANNA ROZALIA.

Ojcze mój Niebieski,  
jak było? Dzwonią na drugie śniadanie —  
gdzie Adaś? Strzela do celu od rana,  
więc pani mówi Janowi: „mój Janie,

idź do ogrodu, proś do stołu pana“.  
Na to panienska: „Ja pójdę“ powiada  
i poszła... Wraca, skrwawione rączęta,  
krew na sukience, twarz jak papier blada,  
mówić nie mogła. Nasz strach! Matko święta!...  
Biegniemy w ogród, przez klomby, przez krzewy!  
leżał na trawie, na wznak — białe oczy  
w niebo patrzyły — strzał poszedł w bok lewy...  
Patrzę, a jemu z warg sinych się toczy  
krwi cienka nitka...

MAJOR

*(siadając, przygnębiony).*

Biedne, biedne dziecko

PANNA ROZALIA.

Ano nieszczęście. Niedobrą szedł drogą:  
wiecznie z tą książką francuską, niemiecką,  
bo ja wiem — jaką? Oni tam nie mogą  
pisać w tych książkach samych dobrych rzeczy...  
A to potrzebne było? w obce kraje  
ten wyjazd? Jechać, słuchać co tam skrzeczy  
Francuz czy Niemiec w tej zamorskiej szkole?  
Nic po tem!

MAJOR

*(ironicznie).*

Tak się waćpannie wydaje.

PANNA ROZALIA.

Ha, ja tam nie wiem... Dość, że po powrocie nawet we żniwa nie wyjechał w pole, śleczął w dzień, w nocy. Czasem znów przy słońcu (ot jak mu przyszło) chodzi po szpalerze, myśli a myśli, aż mu się na czole poryły zmarszczki. Żal doprawdy bierze, bo smutny był jak śmierć, odludek czysty! Młody, z nazwiskiem, z majątnego domu — a kto mu winien? Mędrki, socyaliści i filozofy! Miał też wierzyć komu jak im!

MAJOR.

Cóż znowu! To ma być powodem, że się chciał zabić? Nie — tego nie bywa. Jabym rozumiał, że tam w sercu młodem kobieta jaka... miłość nieszczęśliwa... Ale dla książek?!..

PANNA ROZALIA.

Może ja się mylę — lecz nie kobieta! — Nie! toć panna Jania zjechała do nas. Myślałam przez chwilę: „Ta cię odmieni!“ Gdzietam? Do czytania uciekał przed nią, kłaniał się z daleka, nie spojrział nawet! Panna jakby kwiatek:

oczy — dwie gwiazdy, twarzączka — jak z mleka, każdyby dla niej rzucił sto meżatek!

MAJOR.

Ale gdy serce do innej ucieka?!

PANNA ROZALIA.

Ha! Ja tam nie wiem; dość, że na ostatek zrobił tę straszną rzecz...

*(milczenie).*

MAJOR

Prowadź mię wacpanna

do niego...

*(zdejmuje płaszcz, który bierze panna Rozalia. — Po namyśle).*

Lepiej proś tu córkę moję...

U niego nerwy są jak struna szklanna, gdybym tak nagle przyszedł... ja się boję...

PANNA ROZALIA

*(wskazując do ogrodu).*

Panie majorze, niosą go. W altanie usnął i niosą śpiącego do łóżka.

*(zmierza ku drzwiom).*

Pani tu będzie wnet. Ja idę — panie majorze, pomódz

*(wychodzi do ogrodu).*



SCENA II.

MAJOR, zaraz potem JANIA.

*(Jania wbiega drzwiami z prawej i biegnie po poduszkę, która leży na fotelu).*

JANIA

*(mówiąc za scenę).*

Tutaj jest poduszka!

*(sposstrzega Majora).*

Dziadunio!

MAJOR

Janiu!

*(uściśnienia i pocałunki).*

JANIA.

Dziadziu, ja uciekam,

bom tam potrzebna...

*(bierze poduszkę).*

MAJOR.

Idź, moje kochanie.

JANIA

*(całując go w rękę).*

Dziaduniu złoty...

MAJOR.

Idź, idź... Ja poczekam

JANIA.

Zostanę przy nim a przyślę tu ciocię.

*(wychodzi na prawo).*

SCENA III.

MAJOR

*(sam, chodzi po scenie podrażniony).*

Biedne kobiety! A, nie miał sumienia,  
na matkę względu nie miał. W krwawem błocie  
cześć szlacheckiego zaszargał imienia:  
jakby sztafetą idzie między ludzi  
całej rodziny wstyd!

*(uderza pięścią w stół – nagle ogląda się na prawo).*

Bo się obudzi

chore chłopczysko!

SCENA IV.

MAJOR. – MATKA.

*(Matka wchodzi z drzwi na prawo, idzie spiesznie ku Majorowi. Rzucają się sobie w objęcia. Matka płacze cicho, ukrywszy twarz na piersi Majora. Długa pauza).*

MAJOR

*(ze łzami w głosie).*

Moja ty dziecino,

uspokójże się, Zosiu! czy chcesz duszę  
wylać?

MATKA  
*(placząc).*

Cóż ja winna łzom, że płyną?  
Dotąd nie mogłam płakać — teraz muszę

MAJOR.

Uspokójże się...

MATKA  
*(dławi w sobie płacz i ociera oczy).*

Już... już...

MAJOR.

Wielkie rzeczy  
że młokos głupstwo zrobił — Młodzi, młodzi!  
taki szaleniec mi się pokaleczy,  
a matka potem od łez się zachodzi.  
Cóż mu matczyne łzy?!

MATKA.

I moja wina  
w tem być musiała. Matka odpowiada  
za dzieci: widać nie umiałam syna  
wychować.

MAJOR.

Broń go! Każda matka składa

na siebie winę. Niegodziwy chłopiec,  
o niegodziwy! jak on śmiał to zrobić?!

MATKA.

Życie okropnie musiało mu dopiec...

MAJOR.

A, żeby zdrow był! Na dywanie obić,  
tak pro memoria obić — po szlachecku!  
Widzielibyśmy, czy w łeb sobie palnie!

MATKA.

A, żeby zdrow był!... Mój ojciec, w tem dziecku  
ledwie się płacze duch, a co moralnie  
przeżyć musiał przedtem...

MAJOR.

Ba, nikt się o lada  
błazeństwo, lada farfurkę rozbitą  
nie strzela. „Cierpiał — cierpiał!“ Ty niby to  
gorzej nie cierpisz teraz?

MATKA.

Co tam o mnie.

MAJOR.

Ten chłopiec z tobą postąpił niegodnie!

MATKA.

Nie, ojciec — on to zrobił nieprzytomnie,  
czyż on przytomnie mógł popełnić zbrodnię?

MAJOR.

„Zbrodnia?“ Cóż znowu? Któż mówi, że zbrodnia!  
trzeba przyczynę znać!...

MATKA.

Mnie się już w głowie  
miesza i niewiem nic.

MAJOR.

Wszak od tygodnia  
Wciąż przy nim jesteś —

MATKA.

On sam nic nie powie,  
a ja nie pytam, ja nie mogę pytać.

MAJOR.

A tak, w rozmowie?

MATKA.

My nie rozmawiamy:  
wstydzi się tego, co zrobił... Wyczytać  
mogłam to z twarzy. I mnie także samej  
wstyd czegoś. — Czuję ciągle, że nas dzieli  
coś, co przed sobą nawzajem kryjemy...  
Jeszcześmy sobie w oczy nie spojrzeli;

ja na na głos czytam, on siedzi jak niemy;  
albo mówimy o jego chorobie,  
o niczym więcej — i zawsze to samo...  
Prawda, raz w nocy, za rękę mnie obie  
ścisnął i mówi: „Mamo, moja mamo!“  
i pocałował mnie w rękę nieśmiało...

MAJOR.

A cóż ty na to? Wtedy trzeba było  
mówić z nim.

MATKA.

Coś mnie za gardło złapało  
i płacz zdusiłam w sobie całą siłą...  
mówić nie mogłam.

## SCENA V.

Ci sami. ADAM. JANIA. ROZALIA.

*(Jania i Rozalia prowadzą Adama pod ramiona.  
Adam spostrzegłszy dziadka, staje w drzwiach onie-  
śmielony i opiera się o futrynę, spuszczając oczy.  
Major mierzy go chwilę oczyma, potem zaraz idzie  
ku niemu spiesźnie, z wyciągniętymi rękoma).*

MAJOR

Adaś, chłopcze drogi...

*(całuje go w czoło. Adam chce go w rękę pocałować,  
nie może, stania się).*

MAJOR.  
Trzymajże mnie się; ja ciebie pod ramię  
wezmę.

*(prowadzi go razem z Janią).*

PANNA ROZALIA  
*(za nimi z poduszką).*

Nie prawda, że już nieźle nogi  
stawia nasz Adaś? Przecie ja nie kłamię,  
a wierzyć nie chciał Dziadunio Dobrodziej,  
że Adaś...

MAJOR  
*(do Matki).*

Prawdę, prawdę mówi szczerą:  
nie chciałem wierzyć, że on tak już chodzi!  
*(Sadza go na fotelu przy drzwiach ogrodowych, gdzie  
Matka i Jania przygotowały siedzenie).*

PANNA ROZALIA.  
Toż Adaś wstaje trzeci dzień dopiero!  
*(wychodzi na lewo).*

MAJOR.  
Co znaczy młodość!  
*(długie, kłopotliwe milczenie)*

MATKA  
*(poprawiając poduszki).*

Tak ci niewygodnie.

ADAM.  
Dziękuję mamie.

MAJOR.  
Ja raz w lazarecie  
z ran się lizałem przez cztery tygodnie,  
a kiedy wreszcie wstałem, to mi przecie  
nogi chodziły, jakby po kołędzie.  
*(milczenie).*

JANIA  
*(zagaja rozmowę).*

I sen jest nie zły...

MAJOR.  
A nic tak nie krzepi,  
jak sen  
*(milczenie).*

MATKA.  
Adasiu, czy ciebie nie będzie  
Raziło słońce?

ADAM.  
Nie mam, to lepiej,  
że słońce świeci — mnie dobrze na słońcu.  
*(milczenie).*

MAJOR.  
Wyspałeś mi się chłopcze. Od godziny  
czekam i czekam. Już myślałem w końcu  
zajrzeć do ciebie na palcach...

JANIA.  
Jaśminy  
pachną w ogrodzie, to pewnie uśpiło  
Adasia

ADAM.  
Może. Ale mnie odurza  
samo powietrze...

MATKA.  
Teraz tak przyjemnie  
w ogrodzie.

JANIA.  
Wczoraj nawet pierwsza róża  
rozkwitła...

MAJOR.  
Z wiosną, co roku się we mnie  
odbywa dziwna, niepojęta zmiana:  
nim przyjdzie odwilż, nim ziemia odmięknie,  
już mi melduje wiosnę moja rana —  
(zmywam ją wódką). A potem gdy pięknie  
zaświeci słońce, lubię pić oczyma  
światło i grzać się na ciepło w południe,  
dziękując Bogu, że minęła zima.  
Więc w pole, w pole! Wiatr jakies pobudki  
wygrywa... jadę — role pachną cudnie,

ze śniegiem jakoś i nudy i smutki  
stajały wszystkie... Aż mi serce rośnie,  
gdy po raz pierwszy w pole idą plugi  
i chciałbym śmiać się i krzyżeć radośnie!  
Jest na co patrzeć, gdy przez mgławie smugi,  
co się z wilgotnej, ciepłej skiby kurzą,  
polyśnie lemiesz, tam jeden, tu drugi,  
tam cały szereg. Niech orzą, niech orzą!  
Może w tym roku ceny na jesieni  
będą niezgorsze, a z pomocą bożą  
dobrze się zbierze. Wiem ja, że się zmieni  
potem na gorsze: że mi grad wytłucze,  
lub rdza podrazi — lecz co roku z wiosną  
ludzę sam siebie. Już się nie oduczę  
tego, że we mnie nadzieje tak rosną,  
jak wierzby: dziś je ogłowi siekiera,  
a one jutro puszczą nowe pędy,  
jak na złość — złemu!..

*(spostrzega, że Adam podczas ostatnich słów zwiesił  
głowę na piersi).*

Na sen ci się zbiera,  
możem cię zmęczył? Dostyc tej gawędy!

ADAM.  
Nie, nie dziaduniu, ja tak dla odmiany...  
zwiesilem głowę.

JAN  
*(we drzwiach na lewo).*  
Podane śniadanie!  
*(wychodzi).*

*(Wszyscy wstają prócz Adama i Jani, która siedziała przy nim podczas ostatniej sceny).*

MAJOR.  
Nie — ja z Adasiem! Mój chłopcze kochany,  
my razem...  
*(chce usiąść).*

MATKA.  
Ojczy, Jania z nim zostanie.  
*(Wchodzi Rozalia z filiżanką bulionu na tacy. Wychodzą na lewo Matka i Major).*

#### SCENA VI.

ADAM. JANIA. PANNA ROZALIA.

PANNA ROZALIA.  
Proszę pić prędko, bo bulion wychłódnie.

ADAM  
*(z przeczącym ruchem głowy).*  
Dziękuję.

PANNA ROZALIA.  
Łyżkę!

ADAM  
Zostaw mię w spokoju  
moja Rozalio.

PANNA ROZALIA.  
Kapkę!  
*(Słychać dzwonenie na południe).*

JANIA.  
Na południe  
dzwonią...

PANNA ROZALIA.  
Już idę, już idę do doju,  
ale panienko...  
*(daje znaki Jani, żeby skłoniła Adama do jedzenia, wychodzi drzwiami ogrodowymi).*

#### SCENA VII.

ADAM. JANIA.  
*(Adam zadumany ponuro, z głową zwieszoną na piersi).*

JANIA.  
Nie, ja Adasiowi  
wmuszać jedzenia nie chcę, bo zmęczony.

ADAM  
*(jak wyżej).*  
Nie...

JANIA.  
Smutny może?

ADAM  
(przed siebie).

Wierzbę się ogłowi  
lecz z nową wiosną z pnia na wszystkie strony  
puszczają świeże pędy. A te pręty,  
które odcięto? Co się z nimi dzieje?  
czy im odkwitnie znowu liść uschnięty?  
Zamrą...

JANIA.  
Nie zamrą! trzeba mieć nadzieję...  
Przyjmą się — wierzby z nich wyrosną duże.  
(milczenie).  
Może kropelkę? Ja za to w nagrodę  
coś Adasiowi przyniosę: tę różę,  
ten pierwszy pączek. Włożymy go w wodę...

ADAM  
(przerażony, gwałtownie).  
Tę różę?! Nie chcę! Niech jej nikt nie ścina...  
Nie chcę! — Niech kwitnie...

JANIA  
(zdziwiona — bardzo łagodnie).  
Byłabym o mało  
przykrość zrobiła.

ADAM  
(po chwili, nieśmiało).

Jest jedna przyczyna —  
takie dzieciństwo!... Mnie się przywidziało,  
że jeśli... Wczoraj przyszło mi do głowy,  
gdym był w ogrodzie: czy ja też dożyję,  
aż się ten pączek rozwinie różowy?  
A jeśli wiatry albo ręce czyje  
złamią go... wtedy... (urywa).  
(milczenie).

JANIA  
(błagalnie).  
Niech Adaś przebaczy,  
ja nie wiedziałam, że tem przykrość zrobię;  
bardzo przepraszam.  
(podaje mu rękę, którą Adam ściska).

ADAM.  
Nie, nie, to ja raczej  
przepraszam za to, że w mojej chorobie  
mam przywidzenia tak śmieszne...  
(milczenie — po chwili Jania bierze taczkę z bulionem  
i zmierza ku drzwiom na lewo).

JANIA.  
Na chwilę —  
ja tylko bulion przed ciocią wynoszę:

zmartwiłaby się...

*(staje w drzwiach).*

Kuzynku — choć tyle!

*(pokazuje palcem na filiżance).*

Kłamać przed ciocią nie chcę.

ADAM.

Dobrze, proszę.

JANIA

*(podaje mu filiżankę, którą Adam z trudnością podnosi do ust. Jania podtrzymuje jedną ręką filiżankę, drugą wsuwa pod głowę Adamowi, który wypija do dna).*

Wszystko?! To dla niej!

ADAM

*(patrzy na nią przenikliwie).*

Nietylko dla mamy...

JANIA

*(zmieszana).*

Ja... ja... doprawdy...

*(Chcąc pokryć zmieszanie, odchodzi i odstawia na stół filiżankę).*

ADAM.

Przepraszam, że przerwę;

powiedz, dlaczego my sobie nie mamy

„ty“ mówić?

*(Jania milczy, bardzo zakłopotana, za sceną słychać głos Majora trochę podniesiony).*

## SCENA VIII.

Ci sami. MAJOR. MATKA.

*(Major, po śniadaniu nieco ożywiony, z fajką w rękę)*

MAJOR

*(do Matki).*

Słuchać! ty idziesz w rezerwę!

Spać! spać!

MATKA

*(prawie z prośbą).*

Nie, ojcze!

MAJOR.

Ja tu mam komendę!

*(wchodzi Jan z lewej z czarną kawą na tacy).*

Zaraz po kawie — spać!

MATKA

*(uśmiecha się i przeczy głową).*

*(Major i Matka biorą filiżanki i siadają. Jan zabiera tacę i filiżankę z bulionem i wychodzi na lewo).*

ADAM

*(błagalnie).*

Z dziaduniem będę...

prześni się mama? co?

*(całuje ją w rękę).*



MATKA.  
Ja się położę,  
ale nie usnę.  
*(wychodzi na lewo).*

SCENA IX.

Ci sami bez MATKI.

MAJOR.  
Janiu! do śniadania  
jest rozkaz.

JANIA  
*(wstaje salutując).*  
Według rozkazu majorze!

MAJOR.  
To lubię! rygor bez rozumowania.

JANIA.  
Ale jak wrócę, to się dziadzio zdrzemnie?

MAJOR.  
Już o tem potem.

JANIA.  
Zobaczymy!  
*(wychodzi na prawo).*

SCENA X.

ADAM. MAJOR.

MAJOR.

Jania  
to dzielna panna. Onaby tu ze mnie  
wkrótce zrobiła posłusznego dziadka:  
jak się to droczy ze mną, a przymila...  
i urodziwa — całkiem jak jej matka  
nieboszczka. Ojca swego, Teofila  
czasami znowu przypomina w ruchach...  
*(pauza).*

Któż mógł przypuszczać, że ja nad sierotą  
po nim — opiekę będę miał. W pieluchach  
był, gdy na Węgry szedłem...  
*(po chwili, badawczo).*

Mniejsza o to!  
Chciałem cię spytać, czy tu w serce komu  
Jania nie wpadła?

ADAM  
*(niespokojnie).*

Jakto?

MAJOR.  
Konkurenta  
czy niema? Bywa tu może kto w domu

z młodych sąsiadów, kogo jej oczęta  
ciągną magnesem?

ADAM  
*(apatycznie).*

Nikt taki nie bywa.

MAJOR.

To dziwne.

ADAM  
*(machinalnie).*

Dziwne...

MAJOR.

Panienska jak zorza  
i wykształcona i taka pocziwa!

ADAM  
*(gorąco).*

To prawda!

MAJOR.

Lecieć powinni z za morza  
do niej. W dodatku jest ładny majątek,  
bo i to nawet. — Nie, ja tej młodzieży  
dzisiejszej pojąć nie mogę. — Gogątek,  
zdechlaczków rasa, która w nic nie wierzy,  
niczego nie chce. Ziewający z nudy  
chodzą po świecie z ospałością bydła...

*(zrywa się i wywijając fajkę mówi rozpromieniony).*

„Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;

„Młodości, podaj mi skrzydła

„Niech nad martwym wleczę światem!...“

*(po chwili).*

To była nasza młodość! Z moim bratem,  
a Jani dziadkiem — w Żytomierzu byłem  
w szkołach. Żytomierz!... Ojcowie Pijarzy!...  
Mój Boże! Pamięć jak rak: chodzi tyłem...  
Gdybyś ty wiedział, ile drogich twarzy  
pamięcią widzę, gdy w te lata patrzę!  
A ich imiona? zarastają w ziele  
i chwast, a czas je za lat parę zatrze  
na grobach. — „Razem młodzi przyjaciele!“  
Dyabła tam razem! Po szerokim świecie  
poszli w rozsypkę i mijały lata  
i coraz częściej czytałem w gazecie:  
„Umarł!“

*(po chwili).*

Lecz młodzież z nas była skrzydlata!..  
Pamiętam, byłem wówczas w retoryce...  
Tak, w retoryce byłem — Jaś w syntaksie...  
w tem wieść buchnęła, wieść jak błyskawica  
nagła, ogromna: Belweder! I jak się  
tam było uczyć? ślęczyć w gramatyce,  
czy w jeometrii, albo się w Maronie

ćwiczyć? — o Troi czytać i Ajaksie?...  
Jeśli już o czym, to o Maratonie  
lub Termopylach! Wszak Ojcowie sami  
żyli w gorączce: codzień na mszy rannej  
ksiądz Rektor trochę drżącymi wargami  
mówił litanię do Najświętszej Panny,  
choć nam nie gadał na intencję czyją —  
— Długie miesiące tak trwało... Aż wreszcie  
przyszli! Grzmią trąby i bębny marsz biją:  
cała brygada! Co za radość w mieście,  
a cóż dopiero u nas! W pół godziny  
konwikt był pusty, bo nawet z infimy  
wszyscy pobiegli: ot, takie chłopczyny!  
„Z czym przychodzicie?“ — „Służyć przychodzimy“  
„Wy? Do konwiku! Cóż po was, pędraki?!“  
Nic nie pomogło; aż starszych pobrali  
w rekruty. Ciężył karabin — lecz taki  
byłem szczęśliwy i dumny! Ci mali  
ciągnęli potem długi czas gromadnie  
za nami. Ilu nasze tylne straże  
podniosły potem półżywych na drodze,  
ilu z litości żołnierz po sucharze  
dawał! Aż w końcu...

## SCENA XI.

Ci sami. — JANIA  
(w drzwiach).

JANIA.

Dziaduniu, przychodzę...

MAJOR

(z początku zbity z tropu i niezadowolony jej wejściem,  
potem nagle wpada na pomysł).

Teraz nie możesz. Nie wszystko wypada  
mówić przy pannach...

JANIA

(wychodzi, zamykając drzwi za sobą).

## SCENA XII.

ADAM. MAJOR.

ADAM

(zdziwiony).

Dlaczegożby Jania?...  
wszystko, co dziadzio mnie tu opowiada...

MAJOR

(zakłopotany gładzi ręką włosy).

Bo to... Ja z tobą mam do pogadania  
o jednej rzeczy...

*(wstaje, przechadza się, przystaje, znowu chodzi, spoglądając ukradkiem na Adama).*

MAJOR

*(nagle, stając przed nim).*

Bodaj wszyscy dyabli  
te wywijasy językowe wzięli!  
Ja — człowiek prosty, od pługa i szabli,  
chciałem jedwabnych z tobą ceregieli  
użyć... Kobiety — widzisz — z tym zamiarem  
powyprawiałem, ale... do kaduka!  
sam się splątałem w tem wspomnieniu starem.  
Nie, dyplomacya — to nie moja sztuka!  
Wolę po prostu...

*(milczenie).*

*(bierze Adama za rękę).*

Powiedz, wszak masz ku mnie  
serce i męzkie, szczerze zaufanie?  
bo chcę otwarcie z tobą i rozumnie  
mówić — wiesz o czem!

ADAM.

Wiem...

MAJOR.

Zatem pytanie

zbyteczne.

*(siada).*

Słucham...

ADAM.

Cóż ja powiem dziadzi?...

MAJOR.

Powiesz mi prawdę. Wiem, że mnie i tobie  
ciężko to będzie — lecz prawda nie wadzi  
nigdy. Wiesz przecie, że tego nie robię  
dla nakarmienia głodnej ciekawości,  
która chce palce wtykać w cudze rany:  
ja obowiązek mam — wiedzieć... Im prościej  
powiesz, tem lepiej.

ADAM.

Mój dziadziu kochany,  
choćbym powiedział wszystko — to daremnie,  
nie zrozumiemy się.

*(Major porywa się na równe nogi).*

MAJOR.

Bo siwe włosy  
mam, a ty ciemne? A wiesz ty, że we mnie  
więcej młodości, niż mają młokosy?!  
młode mam serce, choć biała czupryna!  
Tak, wam się zawsze wydaje — wy młodzi,  
że świat się od was dopiero zaczyna.  
Cóż wy myślicie, że się człowiek rodzi  
dziadkiem? że nigdy nie był — jak wy — młody?  
dlatego, że go bez zmarszczek na czole

nie pamiętacie?!

*(milczenie).*

Są chyba powody,  
które ci usta kneblują. Ja wolę,  
że mi wprost powiesz: „Mam cudze sekreta,  
których wyjawić honor mi zabrania.“  
Ja to rozumiem, że jeśli kobieta  
w grę wchodzi — —

ADAM.

niemam nic do ukrywania,  
żadnych tajemnic, żadnych romansowo —  
tkliwych awantur...

MAJOR

*(zdumiony i zaciekawiony).*

A zatem przyczyna...?

ADAM.

Przyczyna we mnie samym. Z własną głową  
i z własnym sercem wieczna szarpanina,  
a w duszy pustka...

MAJOR

*(poruszony).*

Przecież tobie z domu  
dano zasady — w ideałach, w wierze  
cię wychowano...!

ADAM.

Czyż można dać komu,  
co człowiek tylko z własnej duszy bierze?  
co każdy musi dobyć z swego wnętrza?

MAJOR.

Jakto? więc wszystko to, co w dziecko wpoi  
matczyna miłość, choćby najgorętsza  
jest niczem?!

ADAM.

Szkoda było matki mojej  
dla mnie! Ja nie wiem... w moim charakterze,  
w moim umyśle... jest rdza, co rozkłada  
wszystko od podstaw.

MAJOR

*(zbity z tropu).*

Przyznam ci się szczerze,  
że nie rozumiem — lecz mnie strach opada!


*(po chwili)*

Czy się w socjalizm wplątałeś? Bezdroże  
mrzonek i bredni...!

ADAM

*(z ironicznym uśmiechem).*

Gdybym ja miał wiarę  
choćby w te „mrzonki“... Szczęśliwy, kto może



dla wiary w nowe, — burzyć głupstwo stare  
lecz ja nie mogłem, bo we mnie zakrzepły  
wnętrznosci serca — byłem na pogrzebie  
wszystkich mych złudzeń. Jak wróbel oślepiły  
o ściany zwątpień próżno głową tłukę...  
A jednak wierzyć w coś trzeba — na niebie  
albo na ziemi: w Chrystusa, w naukę,  
w ludzkość, w cokolwiek, choćby tylko w siebie...  
Ja nie mam wiary!

MAJOR.

Toż to są owoce  
nauki! Talent wzbogacony wiedzą...

ADAM

*(przerywa z goryczą).*

A cóż ja winien? Ci, co dni i noce  
strawili w pracy — niech mi odpowiedzą  
na zapytanie: co po tej latarni,  
w której światelko łójówki migoce,  
na to, by w koło jeszcze było czarniej  
oczom tonącym w bezdennej pomroce?

MAJOR.

Więc nic już niema godnego miłości,  
ofiar, poświęceń?

ADAM.

Tak, w waszej epoce!...

Wy — wyście byli gorący i prości,  
wyście przeżyli wszystkie ideały,  
wszystkie złudzenia i wszystkie zachwyty,  
a nam dziś po was popioły zostały  
i zjałowiony grunt serc i przeżyty.  
Niech się w nas czasem ozwą jakie echa  
marzeń i tęsknot, to się na nas krwawo  
mści przycajony w naszych mózgach cynik,  
szydząc: „Udajesz romantyka!? Brawo!  
reminiscencyi poetyckich wynik  
niezły! Ach, gdyby cię jaka kobieta  
widziała, gdy tak nad sobą się żalisz,  
podobny smętną twarzą do Hamleta“...  
— Drwiny z samego siebie, to paraliż  
uczuc i woli.

MAJOR.


Tożbym się z tej pleśni  
starał otrząsnąć!

ADAM.

Nie mogłem...

MAJOR.

To znaczy  
nie dosyć „chciałem...“ Szkoda! gdybym wcześniej  
mógł o tem wiedzieć, byłoby inaczej  
z tobą. — Niestety ludzie czasem łamie,



częściej wyrabia. Tobie — z łaski Boskiej  
za dobrze było — przebacz mi Adamie,  
tyś nigdy nie znał rzeczywistej troski,  
jak ja we Francyi. Zepsuł cię dostatek!  
bo cóż? ptasiego chyba tylko mleka...  
i rozpieściła cię najlepsza z matek,  
aż się stał z ciebie moralny kaleka  
bez siły ducha. Dlaczegoż ci biedni,  
którzy zdobywać muszą chleba kawał,  
nie upadają w swej trosce powszedniej?  
A tyś się poddał?

ADAM.

Czym się ja poddawał?  
Przemyślałem nocami całemi,  
jakby się wyrwać z tego — i tak mocno  
postanawiałem... Nie, niema na ziemi  
sposobu na to, żeby bezowocną  
myśl w czyn zamienić. Dziadziu, ja z miesiąca  
na miesiąc czułem, że mi wola słabła  
i że mnie jakaś ciężka ręka strąca  
niżej i niżej... gdzieś w bezdeń...

MAJOR.

Do dyabła!  
toż to choroba — choroba prawdziwa.

ADAM.  
Miałem ja dawniej ambicje, dążenia...  
chciałem — — I patrzeć jak wciąż mi ubywa  
woli, jak zapał w martwość się zmienia  
i jak pomału wszystkie iskry gasną —  
nie — nie! to było nie do wytrzymania...  
chciałem przed sobą uciec...  
*(milknie bardzo wzruszony i zakrywa twarz rękoma).*

MAJOR

*(ze współczuciem).*

Adaś!

*(długie milczenie).*

ADAM

*(uspokoivszy się, cicho).*

Jania  
powiada do mnie w przeddzień przy obiedzie,  
czybym nie wybrał się z nią jutro zrana,  
bo przed śniadaniem do ochronki jedzie.  
Przyrzekłem, choć ta dziatwa rozigrana  
drażni mię wrzawą. Nazajutrz dzień mglisty,  
cmentarny jakiś... przez tę błotną drogę  
mam jechać? Mówię, że mam pilne listy  
pisać na pocztę, więc jechać nie mogę.  
Przykro jej było — widziałem. Lecz sama  
wsiadła w tarantas. Uciekłem do siebie

i drzwi zamknąłem na klucz, żeby mama nie weszła do mnie. Siedzę tak i grzebię we własnych myślach: więc i tyle we mnie niema już woli, by wymódl na sobie taką drobnostkę? Spadłem tak nikczemnie, że com chciał wczoraj, tego dziś nie robię? I wstręt poczułem do siebie. A przytem upokorzeniem czułem przy tej dziewczynie — ja, który jestem lichym pasożytem! Ona chcieć umie — jej zapal nie minie, jak dym: ochronkę ma i zakonnice i w to, co robi, całą duszę kładzie — a mnie z rąk leci, czego się pochwycę...

*(po chwili).*

Otwarłem po coś do biurka — w szufladzie błysnął rewolwer...

MAJOR

*(przerywając).*

Wiem resztę.

*(Długie milczenie, Adam wyczerpany rozmową).*

To życie

Bóg ci darował

ADAM.

Żyć!.. żyć! ja żyć muszę!

Nic więcej, tylko słońce na błękicie

widzieć, oddychać, patrzeć. Ja w tę głuszę czarną iść nie chcę. Śmierć — nie! ja się boję tego! Tu ciepło jest w tem świetle złotem, tu dobrze, pięknie!

MAJOR

*(chwytając go za rękę).*

Prawda? dziecko moje, prawda? jak dobrze!

ADAM

*(spochmurniał, potem nieśmiało).*

Gdyby dziadzio — potem mógł jakoś... mamie... ja się nie odważę nigdy sam na to... ja ją tak ogromnie skrzywdziłem.

MAJOR.

Zaraz! Chcesz? poprosić każę matkę?

ADAM.

Mój dziadziu, wiem, że mama do mnie żal ma —

MAJOR.

Dzieciaku! czy ty znasz matczyną miłość?!

*(wychodzi, po chwili wraca z Matką).*



SCENA XIII.

ADAM, potem MAJOR, MATKA.

MATKA

*(bardzo wzruszona, nie pozwala mu mówić).*

Już dobrze!.. Adasiu... dziecino! —

*(chce go uściskać, ale Adam podnosi się na rękach, obsuwa się z fotelu na kolana i obejmuje rękoma jej nogi. Matka i Major chcą go podnieść).*

Adaś! co robisz? — Zemdła! Boże wielki... ratunku!

MAJOR

*(dzwoniąc gwałtownie).*

Janie!

SCENA XIV.

Ci sami. JANIA. JAN.

MAJOR.

Janie! tu! z pomocą!  
*(Wynoszą Adama do pokoju na prawo).*

JANIA.

Wody! gdzie woda?

JAN

*(porywa ze stołu pustą karafkę).*

Tu ani kropelki...

*(wybiega na lewo).*

MAJOR

*(wychyla głowę z drzwi na prawo).*

Octu!

*(znika za drzwiami. — Jan powraca z wodą).*

JANIA

*(odbierając od niego karafkę).*

Po ocet!

*(wybiega na prawo).*

JAN.

Mnie ręce dygocą!

*(wybiega na lewo).*

SCENA XV.

*(Scena przez chwilę pusta. We drzwiach ogrodowych staje PANNA ROZALIA nie wiedząca o niczem. Niesie w rękę świeżo zerwany pączek róży i chce go podać Adamowi. Spostrzega, że fotel pusty i staje zdziwiona. W tej chwili za sceną w pokoju Adama okropny nieartykułowany jęk Matki. Panna Rozalia wzdryga się, obraca głowę w stronę, skąd jęk doleciał i upuszcza różę przerażona).*

*(Zastona).*

Berlin 1895.



264281/2

# ERRATA.

Str.	19,	wiersz	15	od góry:	<i>siedm</i>	czytaj:	<i>siedem</i>
"	21,	"	10	od góry:	<i>wąde</i>	"	<i>wodę</i>
"	30,	"	2	od dołu:	<i>Swityna</i>	"	<i>Śwityna</i>
"	36,	"	4	od dołu:	<i>każ dziada</i>	"	<i>każ dziada!</i>
"	50,	"	3	od dołu:	<i>niosą</i>	"	<i>niosę</i>
"	53,	"	10	od góry:	<i>niemictwa</i>	"	<i>niemiectwa</i>
"	58,	"	11	od góry:	<i>nieszczęście</i>	"	<i>nieszczęśnice</i>
"	66,	"	3	od góry:	<i>w tej lirze</i>	"	<i>w tej liry</i>
"	104,	"	2	od góry:	<i>ub</i>	"	<i>lub</i>
"	108,	"	3	od góry:	<i>o tem</i>	"	<i>o tym</i>
"	127,	"	1	od góry:	<i>widać</i>	"	<i>widac</i>
"	134,	"	2	od góry:	<i>spią</i>	"	<i>spią</i>